

Piotr Dzięciołowski

# NIE BYŁ MALARZEM KONI



LM  
2002

wydawnictwo  
ROSA PP

## **NIE BYŁ MALARZEM KONI**

Piotr Dzięciołowski

# NIE BYŁ MALARZEM KONI

(Rzecz o Ludwiku Maciągu)

Wstępem opatrzył  
prof. STANISŁAW BAJ

Wypowiedzi prof. Ludwika Maciąga  
opracowane zostały na podstawie scenariusza filmowego  
*Malowany pamiętnik*  
AGNIESZKI KOWALSKIEJ

ROSA PP  
Warszawa 2015

Na okładce:

Obraz olejny Ludwika Maciąga „Konie w śnieżycy”

Projekt okładki:

Malwina de Bradé

Zdjęcia:

Piotr Dzięciołowski

Zdjęcie autora na IV stronie okładki:

Krzysztof Jarczewski

Reprodukcje prac Ludwika Maciąga:

Piotr Dybowski

Michał Woźniak

Skład i łamanie:

Jolanta Matuszewska

Redakcja i korekta:

Krzysztof Burek

© Copyright by Piotr Dzięciołowski

© Copyright by ROSA PP

ISBN 978-83-939406-1-5

ROSA PP 2015

## OD AUTORA

*O tak ciekawej, intrygującej, niepospolitej postaci, jak Ludwik Maciąg trzeba pisać, propagować jego sztukę, sprawiać, by po pierwsze głośno było o niej nie tylko na salonach; po drugie, by pamięć o tym nietuzinkowym artyście trwała. Jest i trzeci powód napisania niniejszej książki: sympatia dla Profesora, z którym utrzymywałem prywatne kontakty przez kilka ostatnich lat jego życia; odbyliśmy dziesiątki kapitalnych dysput m.in. o fotografii, sztuce przez duże „S” i oczywiście o koniach, które w Jego i mojej hierarchii wartości zajmowały-zajmują najważniejsze miejsce.*

*Zbierając materiał do książki spotykałem się z członkami rodziny Profesora, przyjaciółmi i znajomymi. Jednych znałem, innych poznawałem w trakcie pracy nad niniejszym wydawnictwem. Dziękuję wszystkim, którzy zechcieli podzielić się wspomnieniami, pielęgnując tym samym pamięć o jednym z najwybitniejszych współczesnych artystów, zarazem o niezwykłym człowieku. Szczególne podziękowania kieruję w stronę profesora Stanisława Baja, który nie tylko był moim suflerem w realizacji niniejszego projektu, ale też mobilizował do pisania.*

Piotr Dzieciołowski

Nad Bugiem 2015

## **ŻYCIORYS LUDWIKA MACIĄGA**

Prof. Ludwik Antoni Maciąg  
urodził się 13 lipca 1920 r. w Krakowie, zmarł 7 sierpnia 2007 r.  
w swoim domu w Gulczewie na Mazowszu.

Był jednym z naszych najwybitniejszych malarzy  
pejzażystów i batalistów;  
nadzwyczaj często malował konie.

Od drugiego roku życia  
mieszkał z rodzicami w Białej Podlaskiej  
– tam w 9. Pułku Artylerii Lekkiej służył jego ojciec, Michał.

W okresie II wojny światowej Ludwik Maciąg, pseudonim „Sas”,  
był żołnierzem podlaskiego 34. Pułku Piechoty AK  
dowodzonego przez Stefana Wyrzykowskiego „Zenona”.

Po wojnie  
ukrywał się przed Urzędem Bezpieczeństwa,  
pracując w charakterze masztalera i leśniczego  
w Stadninie w Janowie Podlaskim.

Studiował w krakowskiej, a następnie warszawskiej  
Akademii Sztuk Pięknych.

Pracę dyplomową obronił w 1951 roku.

Był asystentem profesorów:

Michała Byliny i Tadeusza Kulisiewicza.

W latach 1969–1972 pełnił funkcję dziekana  
Wydziału Malarstwa warszawskiej ASP.



Uprawiał malarstwo sztalugowe, rzeźbę, ilustrował książki,  
projektował znaczki, plakaty i gobeliny.  
Jego prace znajdują się w zbiorach muzeów w Polsce, za granicą  
oraz kolekcjach prywatnych.

Był autorem licznych wystaw indywidualnych i zbiorowych.  
Wystawiał w kraju, a także m.in. w Anglii, Niemczech Zachodnich,  
Kanadzie, USA, Chinach, Indiach.

Na kilka tygodni przed śmiercią otrzymał tytuł  
*Honorowego Obywatela Miasta i Gminy Wyszków.*

## WSTĘP

Ludwik Maciąg, profesor, malarz, człowiek niepospolity, postać barwna. Subtelny, poetycki, skromny, ale też stanowczy, odważny, chwilami szorstki, zawsze mądry, z poczuciem humoru i bezpośredni w relacjach z ludźmi bez względu na status społeczny tychże. Byli autentyczni, jak on sam.

Lubił ludzi, znał wielu, obracał się także wśród bardzo młodych osób. Pozytywnym zjawiskiem jest to, iż stale rośnie zainteresowanie jego twórczością właśnie wśród młodych artystów. Dostrzegają w malarstwie Profesora potencjał i inspirację.

Ludwik Maciąg malował pejzaże, sceny rodzajowe, wspomnieniowe, konie, znakomite akty, zmysłowe erotyki, a wszystko z wyjątkową intuicją, myślą, niepowtarzalnością. Kompozycja, kolor, bogactwo materii i przede wszystkim własna synteza, wyraz, który nabiera pomnikowości. Nie byłoby malarza Maciąga, gdyby jego rola sprowadzała się jedynie do zgrabnego utrwalania na płótnie rozmaitych historii, treści pospolitych. Istotne jest, jak je wyrażał, jak je malarsko definiował. Ma rację uczeń Profesora, Andrzej Novak-Zempliński: Maciąg nie był malarzem koni. Malował obrazy.

A jakim był Profesor Ludwik Maciąg prywatnie? O tym właśnie opowiada książka Piotra Dzięciołowskiego. Zbierając do niej materiał, autor rozmawiał z kilkudziesięcioma osobami: członkami rodziny, przyjaciółmi, znajomymi, uczniami. Wiele przytaczanych w książce zdarzeń, faktów, anegdot, pokrywa się ze sobą, różnią się jednak interpretacją naznaczoną subiektywnym widzeniem i subiektywnym językiem rozmówców. W treści znajdziemy wiele interesujących historii, tych bardzo poważnych, ale także tych podszytych znakomitym humorem; trafnych opisów i konkluzji. W tym zresztą tkwi ogromne bogactwo i autora, i opowiadających, z których każdy miał swojego Ludwika Maciąga.

Autor, doświadczony dziennikarz z dobrą intuicją, dokonał wyjątkowego zabiegu pod względem języka. Wypowiedzi poszczególnych



osób, zwłaszcza Profesora, może ugładzał zbyttnio, ale zachowując ich autentyzm, nadał im formę literacką. Nie jest to język dokumentu, eseju, ale opowieść o Ludwiku Maciągu z perspektywy rozmówców autora. Poszczególne wypowiedzi, zróżnicowane tekstowo i znaczeniowo, zostały ułożone według ciekawej konstrukcji w jedną całość, w płynną myśl, narrację. Piotr Dzieciotowski oparł swoją książkę na scenariuszu filmu o Profesorze, „Malowany pamiętnik”, stworzonym przed laty przez młodziutką wówczas studentkę wydziału dziennikarstwa Agnieszkę Kowalską, zarazem jedną z rozmówczyń autora.

Indagowanych, rzecz oczywista, mogło być znacznie więcej, jako że Profesora znały setki ludzi, ale gdyby Dzieciotowski próbował dotrzeć do wszystkich, książka zapewne nigdy by nie powstała. Utwór literacki rządzi się przecież swoimi prawami, niezbędna jest jego dynamiczna kondensacja. Niedopowiedzenia, tajemniczość pozostają i to bardzo dobrze.

Zapraszam do lektury ze świadomością, że niniejsza książka będzie jednym z kamyczków w Maciągowym ogródku utrwalającą pamięć o tym nieprzeciętnym człowieku i wybitnym artyście.

Stanisław Baj  
Profesor Akademii Sztuk Pięknych

PS

Dzieła Profesora Ludwika Maciąga znajdują się przede wszystkim w kolekcjach prywatnych. Niestety kolekcjonerzy bywają różni: otwarci, życzliwi, propagujący jego sztukę, ale też nieufni, zazdrośnie strzegący jej w zamknięciu. A przecież, gdy jest niedostępna, twórca przestaje istnieć. Miejscem publicznym, gdzie można obejrzyć obrazy Ludwika Maciąga, jest Zamek w Golubiu-Dobrzyniu, Dyrekcja Stadniny Koni Arabskich w Janowie Podlaskim i kaplica Zjawienia Obrazu Matki Boskiej Leśniańskiej w Leśnej Podlaskiej. W kaplicy znajdują się cztery obrazy dużego formatu, które powstały dzięki staraniom paulina, ojca Eustachego Rakoczego, wielce zasłużonego dla pamięci oddziału „Zenona” i pamięci Profesora.

## **LUDWIKA MACIĄGA**

**wspominają:**

**Stanisław Baj**

artysta malarz

**Adam Bala**

historyk, pedagog

**Ania Bala**

licealistka

**Katarzyna Bala**

artystka tkactwa artystycznego

**Jerzy Borkowski**

hodowca koni, organizator rajdów im prof. Ludwika Maciąga

**Izabela i Emir Chaleccy**

przyjaciele Profesora z ostatnich lat

**Henryk Ciach**

najbliższy sąsiad Profesora

**Włodzimierz Dawidowicz**

artysta malarz

**Piotr Dzieciółowski**

dziennikarz, fotoreporter, autor książek

**Maciej Falkiewicz**

artysta malarz

**Joanna Grootings**

kolekcjonerka sztuki Ludwika Maciąga, przyjaciółka

**Beata Izdebska**

poetka, prezes Fundacji Ludwika Maciąga „Eos”, przyjaciółka

**Mateusz Jaworski**

znajomy, miłośnik i znawca koni arabskich

**Aneta Jaźwińska**

artystka malarka

**Henryk Kępski**

wieloletni przyjaciel, wydawca największego albumu<sup>1</sup> poświęconego twórczości Profesora, a zatytułowanego „Maciąg”

**Szymon Kobyliński (1927–2002)**

grafik, rysownik, karykaturzysta, satyryk, historyk, scenograf

**Weronika Ewa Kobylińska**

kostiumograf, grafik, amazonka (wnuczka Szymona)

---

<sup>1</sup> Poprzednie trzy albumy przygotowywał Zdzisław Bogaczewicz, uczeń prof. Ludwika Maciąga.

**Agnieszka Kowalska**

autorka scenariusza filmu o Ludwiku Maciągu „Malowany pamiętnik” będącego pracą dyplomową na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego (rok 2005)

**Eugeniusz Kupryś**

hodowca, właściciel Klubu Jeździeckiego w Kostomłotach

**Janusz Lewandowski**

artysta malarz

**Hanna Machińska**

bratanica Ewy Maciąg, żony Profesora,  
dyrektor Biura Informacji Rady Europy w Warszawie

**Andrzej Machnowski**

dziennikarz telewizyjny

**Janusz Maciąg**

wnuk

**Joanna Maciąg**

wnuczka

**Jolanta Maciąg**

synowa

**Krzysztof Maciąg-Zbyszyński**

syn

**Wojciech Majewski**

reżyser

**Jan Niedźwiedz**

pszczelarz

**Aleksandra Novak-Zemplińska**

artystka malarka

**Andrzej Novak-Zempliński**

artysta malarz

**Maria Podlasiecka**

pedagog, animator kultury, sąsiadka z ulicy Brackiej, przyjaciółka

**Kazimierz Podlasiecki (1923–1974)**

mąż Marii, artysta grafik, projektant, liternik, przyjaciel

**Wienczysław Pyrzanowski**

artysta malarz

**Magda Stuzińska**

aktorka – wspomnienie w rozdziale *Nie pojedziemy*

**Niche Vasilev**

artysta malarz

**Renata Vasilev**

żona Nichego

**Jadwiga Zbyszyńska-Grzybowska**

kuzynka



## **CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **Koniarz czy malarz?**

**Wypowiedzi Ludwika Maciąga  
nagrane przez Agnieszkę Kowalską  
podczas zbierania materiału do pracy dyplomowej.  
Do druku przygotował autor książki.**

*Malowałem to, co potem przeżywałem. Niektóre sytuacje przeczułem: rysowałem jeźdźców z bronią, a potem sam takim jeźdźcem byłem.*



*Chciałem być żołnierzem. Nawet podkuwałem buty i łupałem obcasami dodając sobie animuszu. A wszystko pewnie dlatego, że najwcześniejsze lata spędziłem w koszarach artylerii<sup>2</sup>. Był tam duży budynek wartowni, my mieszkaliśmy w budynku obok. Naprzeciwko była brama wjazdowa, bliżej okien wielkie koryto do pojenia koni, dalej koniowiązy. Od czasu do czasu któryś z koni się zrywał i z brzękiem łańcucha galopował po dziedzińcu. To była atmosfera mojego dzieciństwa, zarazem inspiracja mojej późniejszej twórczości.*



*Gdy siedząc w szkolnej ławce słyszałem za oknem wiosenne rzenie koni, to wiedziałem, co się dzieje. Na stację kolejową w Białej Podlaskiej prowadzono ogiery. Tam ładowano je do wagonów i rozwożono na punkty kopulacyjne. Wrywałem się wtedy z lekcji – niby do ubikacji. Przemarsz tych koni był dla mnie największą uczcią wzrokową i emocjonalną.*



*W rynku w Białej Podlaskiej Żyd prowadził sklep „mydło i powidło”. Miał tam m.in. trzy pudełka z pocztówkami; jedno z malarstwem polskim. Były znakomicie wydane. Uczylem się z nich historii sztuki, grzebiąc w nich tak długo, aż zaczęła mnie boleć głowa.*



*Miałem dwóch braci. Każdy z nas był na innym froncie, każdy służył w innej broni: Józef w piechocie, Otto w artylerii, ja, tak jak chciałem, w kawalerii. Przyjęto mnie wiosną czterdziestego czwartego do oddziału „Zenona”: z siodłem ojca i w mundurze brata Józefa. Chciałem jeszcze zabrać rewolwer, który miałem schowany w płocie pod żerdzią, ale okazało się, że ktoś go ukradł. Po bracie dostałem pseudonim „Sas”. Jeden z ułanów, „Bomba”, wykombinował mi konia. Każdy miał swojego. Zmieniałem ich sporo, póki nie dogadałem się z klaczą Nuną.*

<sup>2</sup> Ojciec Ludwika Maciąga służył w 9. Pułku Artylerii Lekkiej w Białej Podlaskiej.

*W kawalerii koń jest warunkiem istnienia i trzeba myśleć przede wszystkim o nim. W piechocie wszyscy kładą się spać, zostają tylko ci, co mają wartość. Kawalerzyści muszą znaleźć miejsce dla koni, rozsiódłać je, odczekać, kiedy będzie można nakarmić, napoić. Człowiek zmordowany do ostateczności kładł się po tym wszystkim gdzieś przy koniu. Spaliśmy na ziemi albo na sianie, ale zawsze w pogotowiu. Nie rozbieraliśmy się. Od wszy aż się roiło. A jakże często sypiałem na koniu. Jedzie się i śni, że drzewa rosną do góry nogami. Piechota nam zazdrościła. Oni spali w marszu. Człowiek zmęczony zaśnie wszędzie.*



*Nawet na wojnie żołnierz musiał mieć oczyszczone buty, świeżące ostrogi, czystą broń i być ogolony. Goliłem się w kawie zbożowej, którą dowozili nam do lasu.*



*Jedną z naszych akcji polegała na likwidowaniu Niemców, którzy szukali wystrzelonego pocisku V2. Wtedy po raz pierwszy do mnie strzelano i ja strzelałem. Schowaliśmy się za skarpgą i czekaliśmy. Jechała furmanka z Niemcami. Był rozkaz: nie otwierać ognia, póki wachmistrz nie zacznie. Ten wyskoczył na środek drogi i krzyknął: „Hände hoch!” W tym momencie Niemcy zeskakując z fury otworzyli ogień. Prosto na nas. Zaczęliśmy w nich strzelać. Złożyłem się, strzeliłem w jednego Niemca i zaciął mi się karabinek. Nim go zdążyłem zarepetować, Niemiec już nade mną przebiegł. Strzeliłem w plecy. Ale czy to ja, czy ktoś inny go zabił, tego nie wiem.*

*A po zwycięskiej potyczce załadowaliśmy trupy na wozy. Ręce jednego, choć chłopak władował w niego dziesięć nabojów, wciąż „drapały” w konwulsjach.*



*Wśród trzystu ludzi w naszym oddziale nie było żadnego sadysty, nie pamiętam jakichkolwiek tortur stosowanych wobec Niemców. Wręcz odwrotnie – częstowaliśmy ich papierosami. Ale koniec był nieunikniony. Obraz Niemca oglądającego zdjęcia rodziny przed egzekucją zostawia ślad w psychice ludzkiej. Po dziś dzień żal mi Niemców, których musieliśmy rozstrzelać.*



Pięć lat wojny to całkowita abstynencja kulturalna. Ratowałem się rysując z potrzeby życie leśnych oddziałów. Z tamtych czasów nie ma żadnej wizualnej dokumentacji, żadnych zdjęć. Był to więc mój obowiązek w stosunku do tych, którzy zginęli. Próba uratowania od zapomnienia. Taki rodzaj malowanego pamiętnika.



W partyzantce nie było szarż. Jeden jedyny raz szarżowałem w „Popiołach” Wajdy. Film odegrał ważną rolę w moim życiu, pozwolił przełamać kompleks okularnika, który towarzyszył mi od lat dziecięcych aż po studia. Dzisiaj zupełnie niezrozumiałe zjawisko, ale w tamtych czasach ludzi w okularach było bardzo mało. Na przykład w gimnazjum nosiłem je jako jedyny. I jakie wielkie! Traktowałem więc siebie, niczym ofermę bożą. Na każdym kroku słyszałem: – Cztery oczy ma! W oddziale podobnie. Pod „Somosierrą” tymczasem byłem człowiekiem bez okularów i z ludu. Doklemano mi baki i wąsy. Jak wchodziłem do stajni siodłać konia to nikt nie wiedział, kim jestem. To było fantastyczne. Somosierra stała się więc dla mnie ważna z dwóch powodów: pozbyłem się kompleksu inteligenta w okularach i przeżyłem prawdziwą szarżę. Jazda absolutnie niebezpieczna, cwałem!

\*\*\*

Kiedy spotkałem się z Wajdą i rozmawialiśmy o filmowej Somosierrze, buntował się przed moją wizją. Brakowało mi np. skalistego wąwozu – zdjęcia kręcono na równinie w Stadzie Ogierów w Bogusławicach, a ja miałem rysunki, zdjęcia i relacje brata. Wiedziałem więc jak to wyglądało w rzeczywistości. Poza tym czytałem wspomnienia Kossaka. Wajda był na mnie zły za te uwagi, ale w sumie ciekawie wybrnął z owych geograficznych nieścisłości: puścił zastonę dymną i mgłę.



Dla mnie wojna nie przeszła bez echa. Zostałem w wojnie w jakimś sensie do dzisiaj. Nie dlatego, żebym żył wspomnieniami. To co przeżyłem, to co widziałem, to dla mojej wrażliwości za dużo. Tego tak łatwo nie można z siebie wyrzucić. Jak się widziało sam front, bombardowania, jak się widziało kolumny pędzonych przez Niemców jeńców zamorzonych głodem... Każdy, kto się schylił w drodze, choćby po nawóz koński, zostawał zastrzelony. Niemcy prowadzili żywe trupy. Jak się to wszystko widziało, nie moż-

na czuć się w pełni człowiekiem. Potem byłem świadkiem likwidacji getta w Białej Podlaskiej. Wrażenie porażające – rozpasanie gestapowców to coś, z czym nie można się pogodzić do końca życia. Policja wyciągała ludzi z domów i po prostu do nich strzelała. Współczesnym wydaje się, że coś mogliśmy, ale my nic nie mogliśmy, byliśmy w tej samej sytuacji, co Żydzi. Groza śmierci, tego nie da się wymazać. Skala przeżyć jest tak wielka, że zmienia się system wartości.



Muszę być człowiekiem uczciwym. To jest jedyna moja wiara.



Po przeprowadzce do Białej Podlaskiej ojciec przyjeżdżał nieraz z pułku do domu konno. Wtedy ten ojciec to był dla mnie ktoś.



Dyrektor rekonstruującej się stadniny w Janowie Podlaskim, Andrzej Krzyształowicz, zaproponował, że przyjmie mnie z moim koniem, Iskrą, ale nie da mi pensji masztalerza; dla mego bezpieczeństwa pełniłem funkcję leśniczego lasów stadniny janowskiej. Klacz dostała miejsce w stajni czolowej, ale że była dość delikatna, do lasu jeździłem na innych stadninnych koniach.

Był to jeden z najcięższych okresów mojego życia: mieszkalem na poddaszu w kaflarni, ostra zima, dom nieopalany, podłoga wybrzuszona, przeciekający dach. Mogłem myć nogi i ręce w kałużach. O siódmej rano wstawałem i jechałem dwa kilometry na rowerze lub szedłem pieszo do stadniny, tam siodłałem konia. Do siódmej wieczorem bez jedzenia, bez ogniska, bez jakiegoś ciepłego miejsca. Nad Bugiem – dmuchało straszliwie. Jedyna rozgrzewka to był galop albo schowanie się w dębinie (leżało tam pięć trupów niemieckich – woda wyrzuciła). Można powiedzieć, że cały rok spędziłem w siodle. Od wczesnej wiosny w partyzantce, często dłużej niż po dwanaście godzin, a potem w stadninie od siódmej do dziewiętnastej jako leśniczy. Dopiero na wiosnę zostałem masztalerzem w Janowie.

Okres w stadninie sprawił, że później wszystkie stada i stadniny stały przede mną otworem. Jako masztalerzowi z Janowa wszędzie dawano mi konia na przejażdżkę. Dumny jestem, że byłem masztalerzem. To mi szalenie potem pomogło w życiu.

*Studia na ASP w Krakowie rozpocząłem w mundurze masztalerza. Jak szedłem ulicą to patrole oddawały mi honory. Ale wiedziałem, że bezpieka depta mi po piętach. Jak przychodziłem na zajęcia, na rysunek, to wszyscy się ode mnie odsuwali – nie wiedzieli kim jestem. Nie chwaliłem się. Atmosfera nie za bardzo była koleżeńska.*

*Chodziliśmy na anatomię do prosektorium. Leżało tam pięć trupów w formalinie. A ja świeżo po tym wszystkim, co przeżywałem. Nie wiedziałem, co to za chłopcy, może to nasi zastrzeleni akowcy teraz tu leżą. Bezimienne trupy.*



*Moja klacz Iskra złamała nogę. Została kopnięta przez innego konia i trzeba było ją dobić. Biegałem po całej wsi próbując pożyczyć broń, ale żaden z chłopów nie przyznawał się, że ma jakiś karabin albo pistolet. Kiedy wróciłem do stajni okazało się, że już ją dobili masztalerze.*

*W taki sposób straciłem mojego drugiego wojennego konia.*

*Moje malarstwo wywodzi się nie z Luwru, nie z Zachęty, tylko z tego, co przeżywałem. Jestem obcy w środowisku malarskim, bo wszyscy mieli inną drogę. W malarstwie obowiązywała i obowiązuje u nas tendencja naśladowcza sztuki Zachodu. To była taka podstawa istnienia artystycznego. Też przeżywałem tę fascynację, ale kiedy uświadomiłem sobie, że jestem z zupełnie innego świata, oderwałem się od tego środowiska. W malarstwie tępią mnie za to, że byłem inny. Jest to samotność w sztuce. Najbardziej nieprzystawalną dla środowiska jest odmienność, a odmienność jest z kolei warunkiem istnienia w sztuce.*

*Próbowano mnie wyleczyć z malowania koni. Koń nie jest bowiem tematem dobrze widzianym w sztuce. Większość malarzy nie potrafi rysować koni. Trzeba znać jego anatomię i ruch. Do mnie trudno się było przyczepić, a jednocześnie nie można było mnie aprobować.*

*Na zasadzie przekory postanowiłem być łącznikiem między klimatem sztuki polskiej, a współczesnością. Pozostałem idiotycznie wierny temu klimatowi, a to jest absolutnie niewybaczalne. To jest coś, co mnie eliminuje z życia artystycznego. Przestałem istnieć. Jak osiedliłem się w Gulczewie, niektórzy myśleli, że nie żyję, inni pytali, czy maluję jeszcze, a ja nigdy w życiu nie malowałem tyle, co teraz. Czasem maluję w nieskończoność jeden obraz, a czasem zajmuje mi to dwa, trzy dni.*

*W życiu musi być wszystkiego po trochu. W sztuce decyduje kontrast. Życie też jest oparte na kontraście. Kiedy nie było niczego w sklepach, żartobliwie mówiłem, że Polska jest najszcześniejszym krajem na świecie, ponieważ jak człowiek dostał kilo gwoździ, to już wystarczyło, by był zadowolony. A kobieta, która dostała kiełbasę! To byli szczęśliwi ludzie. Co królowa brytyjska wie o szczęściu?*

*Ojciec przyjeżdżał wieczorem, brał młode konie i jechaliśmy całą gromadą saniami. Pamiętam klimat mrozu i dźwięku drutów telefonicznych. To była taka groźna muzyka. Co jakiś czas mieliśmy wywrotkę. Jak ja marzłem! Te sanny były dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Znajduję odbicie w moim eklektycznym malarstwie. Teraz, jak mam chandrę, maluję sobie sanie. Namalowałem obraz „Mróz”, jest na nim tylko niebo i małe sanki. Gdybym był pisarzem, myślę, że akurat o saniach pisałbym w bardzo sugestywny sposób.*

*Ilustracjami zarabiałem na utrzymanie mojej klaczy, Iskry. Z początku bardzo mnie rajcowało, żeby zobaczyć reprodukcję swojego obrazu. A kiedy już zobaczyłem, byłem zachwycony. Wydawało mi się, że to, co wydrukowano jest lepsze od tego, co zaprojektowałem. Ale praca była dość uciążliwa: musiałem zbierać materiały historyczne. Badałem jak koń ubrany, jak żołnierz umundurowany. Gromadziłem informacje, szkicowałem, by eksplodować z pomysłem dopiero na trzy dni przed terminem. Całe noce wtedy siedziałem i robiłem ilustracje. Wpadałem w trans. Po takiej nocy o trzeciej, czwartej nad ranem zasypiałem, mając zmory. Podobnie, jak miał Francisco José de Goya y Lucientes. Działy się makabryczne rzeczy, wydawało mi się, że coś siada mi na nogach, jakiś wilk. Próbowałem wydobyć z siebie głos, a ten głos był tylko rżeniem. Doszedłem do wniosku, że to rozbudzona wyobraźnia tak działała. Nie umiałem jej poskromić. Dałem sobie spokój z ilustracją. Rozstałem się z nią i zmory się skończyły.*

*Zerwałem z ilustracjami jeszcze z innego powodu. Zacząłem dostawać coraz słabsze pozycje, w których mogłem wykazywać się tylko kreską. A we mnie istnieje malarz, tęsknota do kolorów. Wiedziałem, że jak nie będę malować to się zmanieruję i to będzie manieryczna kreska.*

*Tworzyłem też znaczki pocztowe. Dzięki nim wyłynąłem, bez nich nie istniałbym w ogóle.*

Zajmowałem się również projektowaniem gobelinów. O projekt zwróciła się do mnie „Cepelia”. Wykonałem cały zestaw, głównie biegi myśliwskie. Bardzo mnie to bawiło – malowałem akwarelę na kartonie, a potem tkaczka tkła. Tkaczka jednak nie musi znać anatomii konia, człowieka. Patrzą na twarz, a widzę oczka zrobione tam, gdzie policzki. Zakazałem produkcji cepelianych gobelinów według moich projektów. Później tkła mi koleżanka.

\*\*\*

U mnie zaczęło się inaczej niż u kolegów malarzy – najpierw zetknąłem się z końmi, potem z malarstwem. Uległem fascynacji Kossakami. Najpierw robiłem pastisze, ale doszedłem do wniosku, że nie znajduję u Kossaka mojego ogiera, muszę sam go stworzyć. Doznania, jakie we mnie wywoływał, chciałem przenieść na płótno. To było motorem mojego malarstwa. Całe życie spędziłem z ogierami. Działy na mnie ich elegancja, temperament, sposób noszenia się. Ogier jest piękny jak kobieta. Niesamowita ekspresja ruchu.

Jestem malarzem ogierów, a moim typem koń o charakterze orientalnym, ale nie filigranowy, właśnie z grubszym karkiem, szyją. Eos właśnie taki jest; szlachetny, ale masywny.

\*\*\*

Jestem bardziej ze zwierzętami niż z ludźmi. Kontakty z ludźmi wiążą się zawsze z jakimś kompromisem wobec konwencji, jest to zawsze jakaś stylizacja. Zwierzę natomiast jest bezpośrednie, jest jakie jest. Ten kontakt jest autentyczny, prawdziwy. Z ludźmi to się udaje niezwykle rzadko.

\*\*\*

To co Staś (Stanisław Baj – przyp. PD) robi ze swoimi modelami, to są trafnie zobaczeni ludzie. Ale to malowanie dla nikogo. Chłopi są oburzeni jak się zobaczą, a w mieście nikt tego nie kupi, bo przecież chłopca na ścianie nie będzie sobie wieszał. Maluje z potrzeby wewnętrznej i tylko dla siebie.

U mnie ludzie nie są zbyt głacy. Żona zawsze miała pretensję: co ty takich chamów przedstawiasz? To prawda. Koń był u mnie szlachetny, ale człowiek już nie za bardzo.

\*\*\*

Jestem trochę kontrowersyjny. Twierdzę, że jesteśmy najlepszymi malarzami koni w świecie. Mamy Juliusza Kossaka, który był wręcz genialny w widzeniu konia wtedy, kiedy nie było jeszcze fotografii. To on stworzył prototyp

*konia arabskiego. Tajemnica araba tkwi w bukiecie, a nie w małej głowie. Nikt wcześniej nie odkrył ogona u araba, jak go nosi. A ogon u araba to arab!*

*Sprawia mi satysfakcję, kiedy spotykam ludzi, którzy odbierają tę fałę, na której ja nadaję. Ale to nie są ludzie z tych górnych półek świata artystycznego, tylko to są jeźdźcy.*

*PRZYSZLI*

*Mój typ uzdolnień, moja łatwość obserwacji odpowiadała kreatorom socrealizmu. Zaproponowano mi katedrę plakatu politycznego. Zażądano, abym namalował przyjaźń polsko-radziecką. Zagrożono, że odbiorą pracownię na Brackiej. Namalowałem obraz „Przyszli” – to był mój istny wyczyn intelektualny. Miałem ogromną satysfakcję, że skończyły się wszystkie zamówienia. Jeden z generałów spytał mnie, co znaczy przyszli?*

*– Pańska interpretacja – odrzekłem.*

*– Można spytać: po co? do pana? po pana?*

*W Głównym Zarządzie Politycznym Wojska Polskiego skomentowano, że „Maciąg to skurwysyn”. Ogłosiłem więc wszędzie, że maluję tylko konie. Wiele razy ratowały mi skórę.*

*COŚ*

*Pewnie żaden malarz nie wybierał tyle nawozu z kopyt końskich, co ja. Bo w gruncie rzeczy jestem bardziej koniarzem niż malarzem. Ta pasja była mocniejsza ode mnie. Konie to nieuleczalna choroba. Rwałem się do jazdy, każda okazja była dobra. Potrafiłem trzydzieści kilometrów dziennie dojeżdżać, aby wsiąść na konia. Moją ambicją było sprawdzenie się. Czy wsiądę na najtrudniejszego wierzchowca i nie będę się bał? Czy dam sobie radę? I dawałem. Jestem człowiekiem spełnionym.*

*AKORDA*

*W gimnazjum profesor uparł się, żeby zrobić ze mnie offermę. Przy skakaniu przez kozła urządził ze mnie pośmiewisko. Ale jak na zajęciach z przysposobienia wojskowego była wołyżerka, to nie mogłem ojca narazić na dyshonor. Na tych zajęciach często jeździłem na kłaczy Tuberozie i znakomicie się dogadywaliśmy – to był taki koń nauczyciel. Potem w Białej Podlaskiej dosiadałem srokatego Alaryka i gniadego Akorda. W czasie okupacji jeździłem na Kopczyku i Delfinie. W partyzantce miałem najpierw Nunę. Nazwałem ją tak na cześć mojej żony – tak zdrobniale zwracała się do niej rodzina. Kobyła miała sztorcową pęcinę, przez co w kłusie twardo nosiła, chłopcy nie wytrzymywali, ja to polubiłem. A galop miała fantastyczny.*

Zginęła prawdopodobnie od pocisku artyleryjskiego. Wtedy dowódca dał mi swoją Iskrę – sobowtórkę kasztanki Piłsudskiego. Po wojnie dosiadałem w „Legii” Cygana. Szedł na przeszkodę jak burza. Był trudny, ale że darzono mnie tam zaufaniem, takie konie mi przydzielano. Z czasem miałem już swoje własne: najpierw siwego araba, Perseta, którego darzyłem ogromnym zaufaniem. Potem był Epos. Kupiłem go od hodowcy. Miał być sprzedany na rzeź. Był rozhisteryzowany, nie podawał nóg, tulił uszy. Leżałem z nim dwa razy. W końcu go oddałem i wziąłem w dzierżawę angloaraba z Białki, Barana. Przemianowałem go na Barona. Trochę był płochliwy. Poniósł mnie z żoną, kiedy jechaliśmy bryczką. Był to koń, który nie wytrzymał samotności i strasznie tłukł się w nocy. Bojąc się o niego, oddałem go z powrotem do Białki. Potem przyszedł bułany, Alkazar, na którym w „Potopie” jeździł Olbrychski. Wziąłem go z kaszlem, miał wyciek z nozdrzy. Było coraz gorzej. Zawiozłem go do kliniki weterynaryjnej na Grochów i tam go odwiedzałem. Nie było poprawy, w końcu padł. Okazało się, że miał raka płuc. W tamtym czasie miałem też konika polskiego, fantastycznego Drzemlika i Zagona po wyścigach. Trudno było na niego wsiąść, a jak ruszał, to od razu dawał susa. Trochę narwany. Oddałem go na reproduktora w zamian za kasztana Eosa. Po likwidacji stadniny w Kurozwękach wykupiłem. Wielokrotnie jeździłem z nim na rajdy do Janowa, Łosic, Częstochowy. To koń życia, koń partner. Jak można nie mówić o szczęściu – mam konia marzeń.



Maluję pola, ponieważ po nich jeżdżę konno. Jak jadę do Janowa Podlaskiego, to jestem w siodle trzy dni od rana do nocy. Raz jednego dnia przejechałem sto kilometrów. Takie samotne rajdy to wspaniała sprawa. Zaczyna się bardzo szybkie dogadywanie, prawie przyjaźń. Koń to zwierzę stadne, traktuje człowieka jak towarzysza. Kontakt z koniem jest dla mnie prawie jak kontakt z kobietą. To doznania estetyczne. Ale pełnia jest wtedy, kiedy jest fizyczność, kiedy ja na tego konia wsiądem.

Marzyłem o kobiecie a la August Renoir: mały biust, dość rozbudowana pupa, uda. Żona nie była więc w pełni moim typem fizycznym. Nie jestem pewien, czy ja byłem jej. Ale nasze małżeństwo trwało, przeżyliśmy razem pięćdziesiąt lat! Kiedy kończyła się strona erotyczna, zaczynała przyjaźń. Ta przyjaźń niesłychanie nas wiązała. Żona była bardzo wrażliwą osobą.

Nasza znajomość sięga lat okupacji: zobaczyłem ją na meczu akowskiej siatkówki. Wpadła mi w oko. Wydała mi się niesłychanie atrakcyjna,

*ale dość ostra i myślałem, że żadnych szans nie mam. Do tego byłem wtedy, jeśli chodzi o kobiety, straszliwie nieśmiały. Próbowałem utrzymywać z nią kontakt. Kiedyś pojechaliśmy rowerami do Terespoła, to już nas troszeczkę zbliżyło. W przeddzień wyjazdu do oddziału spotkaliśmy się na pożegnanie, odbyły się nieoficjalne zaręczyny. Nie wierzyłem, że przeżyję, kontaktu nie mieliśmy przez pół roku.*

*Po powrocie z wojny dostałem pracę leśniczego w lasach stadniny jawnowskiej. Bywałem u żony na poczęstunkach. Próbowałem ją uczyć jeździć konno, jednak próby nie powiodły się. Kiedy kobyła położyła się pod żoną, tak ją to przeraziło, że już więcej nie chciała na konia siadać.*

*Mieliśmy wspólną pasję – wrażliwość na naturę. Często robiliśmy wycieczki rowerowe po lesie. Jak poszła na wcześniejszą emeryturę to zaczęliśmy intensywnie szukać jakiegoś zalesionego miejsca nad wodą. Znaleźliśmy je w Gulczewie.*



*W samej Warszawie mieszkaliśmy bardzo krótko. Zaraz po ślubie wynieśliśmy się do Wesolej, potem do Woli Grzybowskiej, by w końcu osiąść w Gulczewie. Zaczęliśmy od niczego, od przeniesienia starej chałupy z innej wsi. Dół pod dom kopałem przez wiele tygodni. Później był cieśla, ale fundamenty i stajnię zrobiłem sam. Makietę domu wykonałem z pudełka od butów, a architekt zrobił na tej podstawie plan. Dokładnie taki, jak chcieliśmy. A wszystko prawie bez pieniędzy.*

*Przeprowadzka do Gulczewa była wspólną inicjatywą, żony i moją, ale dla Ewy czasem wielkiej próby. Jak się tu sprowadziliśmy, nastąpiła zima stulecia, chodziło się po hałdach śniegu, a mróz trzymał potworny. W domu było tak zimno, że odmroziłem sobie uszy i nogi.*

*Jeździłem wówczas dwa razy w tygodniu na uczelnię. Byłem w Warszawie akurat wtedy, gdy nastąpił wybuch w Rotundzie – to niedaleko mojej pracowni przy Brackiej. Wybierałem się nawet do Rotundy pobrać pieniądze. Nie dotarłem tam, ale moja żona nic o tym nie wiedziała. Za to w radiu usłyszała o wybuchu. Była przerażona, a do jakiego stopnia, przekonałem się dopiero wieczorem, grubo po 22, kiedy to wróciłem do domu. Była tak zdenerwowana, że zaproponowałem jej powrót do Wesolej lub przeprowadzkę do syna. Ale ona powiedziała: jak dotąd dotrwałam, to dalej wytrwam. Bohaterska była, zupełnie niezwykła.*



## SIODŁO „ZENONA”<sup>3</sup>

*Ułan-okularnik, dziś to śmieszne, ale w latach okupacji budził pogardę, zwłaszcza w gronie męskim. Ułan stroniący od alkoholu, kiedy wokół pili wszyscy, wydawał się niebezpieczny, fałszywy. A ułan, który nie ukończył słynnej grudziądzkiej szkoły kawalerii, tylko jakąś tam konspiracyjną podchorążówkę, szkoda gadać!*

*To oczywiście wszystko o mnie. Same minusy. Nic więc dziwnego, że kiedy wiosną 1944 roku pojawiłem się w partyzanckim oddziale „Zenona”, kawalerzyści patrzyli na mnie podejrzliwie i nieufnie. Mieli zresztą i inne powody. Byli przecież doświadczonymi wojakami, zaprawionymi już w leśnych bojach, a ja co? Kompletny żółtodziób! W takiej atmosferze niełatwo było zaistnieć, a swoją drogą ciekawe, że nawet w skrajnych wojennych warunkach człowiek potrzebuje aprobaty i uznania.*

*Od pierwszych chwil udawniałem więc, że się nie boję, nie chowam głowy w piasek, nie stronię od niebezpiecznych akcji. Oczywiście chodziło mi nie tylko o akceptację kolegów, ale także, a może przede wszystkim, dowódcy Stefana Wyrzykowskiego, pseudonim „Zenon”. Był mniej więcej w moim wieku, a już obrósł legendą. Człowiek sienkiewiczowskiej trylogii! Dla mnie, niczym Napoleon dla szwoleżerów. Żołnierz nieprawdopodobnie odważny, wymagający, o wielkim autorytecie, wyjątkowych zdolnościach taktycznych i niepospolitej uczciwości. Nie godził się nawet z najdorodniejszymi wybrykami podwładnych. Nie stosował żadnej taryfy ulgowej, choć przecież był to czas wyjątkowy. Każda chwila mogła okazać się ostatnią. Mimo to karał z ogromną surowością, ale sprawiedliwie.*

*Jak mało kto wiedział, co to honor, ojczyzna, patriotyzm. Dziś niestety owe wartości, skutecznie zresztą przez lata ośmieszane, poszły ad acta. Ale ja miałem szczęście uczyć się ich od samego „Zenona”. Co prawda, w latach powojennych nie bardzo mogłem się tym chwalić, bo władze komunistyczne robiły wszystko, by wykreślić z historii nie tylko postać „Zenona”, ale w ogóle zamazać szlak bojowy oddziału. Pomyśleć, oddziału, który m.in. osłaniał przerzut pocisku V2 na Podlasiu, stoczył dziesiątki mniejszych i większych bitew, ponosząc przy tym minimalne straty, a zadając Niemcom ogromne. To potrafił tylko „Zenon”.*

*Nic dziwnego, że każdy, kto u niego służył, poczytywał to sobie za wyjątkowy zaszczyt, każdy pragnął zwrócić na siebie uwagę. Mnie udało się...*

<sup>3</sup> Fragment mojej książki: *Historie przedmiotami pisane*, Oficyna Wydawnicza „RYTM”, Warszawa 2005.

dzięki klaczy. Dość długo nie mogłem znaleźć dla siebie odpowiedniego konia, aż wreszcie trafiłem na wyjątkowo trudnego, na którym wcześniej innym kazano jeździć za karę. Rzeczywiście klacz wymagała stanowczego tonu, ale szybko się dogadaliśmy. Nazwałem ją Nuna na cześć narzeczonej, a później żony, z którą zaręczyliśmy się w przeddzień mojej partyzanckiej tułaczki.

Na Nunie, jako jedyny w oddziale, potrafiłem w ułamku sekundy „wygalopować” na patrol, akcję, czaty. Inni żołnierze toczyli ze swoimi końmi istne wojny, by w ogóle oderwać je od stada.

I tak zacząłem zbierać plusy u „Zenona”, zyskiwać stopniowo jego zaufanie. Byłem dumny, a z tej dumy zdolny wykonać każdy, nawet najniebezpieczniejszy rozkaz. Zauważony przez dowódcę poczułem się kimś. Również żołnierze zaczęli mnie lepiej traktować, choć nigdy nie dostąpiłem miana kumpla. Wywodziliśmy się z zupełnie innych środowisk. Im wydawało się nawet śmieszne, gdy myłem zęby. Najlepiej czułem się w towarzystwie konia i spędzałem z nim każdą wolną chwilę.

Aż nadszedł dzień wielkiej bitwy w okolicach Grabarki na zachód od Białej Podlaskiej. Była tak wyczerpująca, że pamiętam ją tylko we fragmentach. Stres i zmęczenie wywołały niewyobrażalną lukę w pamięci. Wielu faktów nie potrafię sobie nawet wytłumaczyć. Wiem na przykład, że w pewnym momencie oddaliśmy nasze wierzchowce koniowodnym, bo tak upiornie bały się ognia, że nie były w stanie wykonać jakiegokolwiek polecenia. Ale kiedy to było, Bóg raczy wiedzieć. Spasowała nawet odważna Nuna.

O zmierzchu dowiedziałem się, że zginęła trafiona odłamkiem artyleryjskiego pocisku. Nie miałem chwili, by zapłakać. Kule świszczały z prawa, z lewa, z powietrza. Nagle w potężnym ogniu znalazł się wóz z amunicją. Podbiegliśmy tam z adiutantem i kompletnie nie zdając sobie sprawy z groźącego niebezpieczeństwa przepchnęliśmy gigantyczną bombę w inne miejsce. Podejrzewam, że tę dramatyczną scenę obserwował „Zenon”, bo zaraz potem wezwał mnie rozkazem: „Sas” do dowódcy. Taki nosiłem pseudonim.

Nie chciało mi się wierzyć. Wysłał mnie w roli parlamentariusza na teren, który właśnie zajęli Sowieci. Co prawda zupełnie nie znałem rosyjskiego, ale potrafiłem przynajmniej kląć w tym języku, niczym radziecki szewc.

Obdarzenie mnie takim zaufaniem było czymś niesamowitym. To więcej niż order. Na dodatek „Zenon” dowiedziawszy się o Nunie, oddał mi swoją klacz, Iskrę. Dorzucił jeszcze wyjątkowo wygodne siodło, najprawdziwszą wojskową kulbakę.

*Pojechałem, było gorąco. Rosjanie traktowali mnie i moich dwóch współtowarzyszy na równi z niemieckimi jeńcami. Niewiele brakowało...*

*Jakiś miesiąc później nasz oddział sam się rozwiązał. Wraz z Iskrą osiadłem na pewien czas w Janowie Podlaskim. Pracowałem najpierw jako leśniczy, potem, z czego jestem niesłychanie dumny, masztalerz w słynnej tamtejszej stadninie. Dzięki temu uchowałem się przed więzieniem, podczas gdy „Zenon” z wyrokiem śmierci tułał się od celi do celi. W końcu wypuścili go na mocy amnestii. Wtedy dopiero opowiedziałem mu o Iskrze, która tragicznie zginęła w wyniku razu otrzymanego od innego konia.*

*Przyjaźniliśmy się z „Zenonem” do końca jego dni. Kilka lat temu zmarł na zawał. (1985 rok – przyp. P.D.). Wspominam o nim przy każdej okazji i do dziś pieczołowicie przechowuję siodło, które sprezentował mi w tak dramatycznych okolicznościach. Służy mi w dalszym ciągu. Tak, tak! Mimo mojego dojrzałego wieku przemierzam konno wielokilometrowe szlaki. I choć kompleks konspiracyjnej podchorążówki pozostał, zawsze podkreślam: choć nie z Grudziądza, d... mam z mosiądza.*



[Faint, illegible text block]



[Faint, illegible text block]

## **CZĘŚĆ DRUGA**

**Takim Go pamiętają:  
rodzina,  
przyjaciele,  
znajomi**



## A TY, LUDWIKU, PO CZYJEJ STRONIE JESTEŚ?

W październiku 1978 roku, w kilka dni po wyborze papieża Jana Pawła II, natknęliśmy się z Ludwikiem na profesora Michała Bylinę. Ten był wyraźnie nie w humorze. Narzekał na sytuację polityczną w kraju, krytykował władzę, system, właściwie wszystko i wszystkich. W pewnym momencie zawiesił głos, spojrzał na Maciąga i zapytał podniesionym tonem:

– A ty, Ludwiku, po czyjej jesteś stronie?

Przyparty do muru Ludwik podrapał się w głowę, bo nie znosił awizowania się ze swoimi poglądami, gdy był o nie pytany. Sam z siebie dzielił się nimi chętnie. Po chwili zastanowienia odrzekł tonem kategorycznym:

– Ja jestem za papieżem.

Odpowiedzią kompletnie zaskoczył Bylinę. Do tego stopnia, że ten uśmiechnął się i przyjaźnie poklepał go po plecach. I tu wyjaśnienie: być poklepanym przez Bylinę, to zaszczyt nie byle jaki. Zwyczaj ten z czasem przejął od niego Ludwik i też w szczególnych okolicznościach „klepał” zasłużonych.

Hanna MACHIŃSKA

## TO PANI NIE WIE?

Na dwa dni przed otwarciem największej wystawy Ludwika, która miała miejsce w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, umarła Ewa, jego żona. Uroczystości oczywiście nie można już było odwołać. Wujowi przyszło więc dźwignąć okropny ciężar. Myśłami był przy Ewie, a sytuacja wymagała, by „bawił” zwiedzających. Trudno mi dokładnie określić ile osób przyszło na wernisaż, ale jak nieprzebrane były to tłumy, niech świadczy następująca historia: na Krakowskim Przedmieściu, opodal Akademii, była kwiaciarnia. Wstąpiłam do niej, by kupić wujowi symboliczną roślinkę, a tam pusto, ani jednego kwiatka. Pytam właścicielkę, co się stało, czy aby nie likwiduje kwiaciarni?

– To pani nie wie? – zwróciła się do mnie. – Dziś na ASP jest wystawa profesora Ludwika Maciąga.



## ZAPACH GULCZEWA

Bardzo trudno opowiadać o dziadku, jeśli przez większość życia miało się z nim kontakty okazjonalne. Ocieraliśmy się o siebie czasem w święta, czasem z racji jakichś rodzinnych lub przypadkowych spotkań, ale na co dzień żyliśmy w dwóch różnych światach. Dziadek był pochłonięty końmi, swoimi znajomymi i własnymi sprawami. Nie będę udawała, że mnie to nie bolało. Tęskniłam za dziadkiem, który wzięłby wnuczkę na kolana, opowiedział bajkę, poczytał książkę. Dziadek jednak potrzebował dojrzałego towarzystwa. Oczekiwał pytań, jakich dzieci nie zadają. Ale dziadkowo-wnuczkowe wspomnienia – skromne bo skromne – mam. Pamiętam, jak dzielił się z końmi opłatkiem, jak grał kolędy na organkach, jak przepięknie stroił sosenkę na Boże Narodzenie.

Kiedy zdawałam maturę, dostałam od dziadka na „uspokojenie” szczeniaka po jego ukochanym Pubarze, psiaku, który pojawiał się na Maciągowych obrazach. Szczeniak, a właściwie szczeniaczka Nuda, wyrosła na wyjątkowo mądrą suczkę. Siadała z nami przy stole, zaglądała w talerze, ale niczego bez pozwolenia nie ruszyła. Zawsze pamiętałam, że to była suczka od dziadka.

Z sentymentem wracam też do naszej wspólnej wystawy „3 razy M”, która odbyła się w Wyszku w 2003 roku. Dziadek pokazywał obrazy, ja ceramikę, a mój brat Janusz rysunki akademickie – studiował wtedy na ASP. Wystawę ciepło przyjęto. Szkoda, że już nigdy potem nie było nam dane razem czegoś dokonać. Postępująca choroba dziadka wykluczyła wspólne projekty. Jak na ironię kontakty ożywiły się dopiero, gdy umierał. Wówczas bywałam u niego często, nawet mieszkowałam w Gulczewie, co wcale nie gwarantowało, że mogłam przebywać z nim do woli. Przez dom, jak zresztą zawsze, a wtedy zwłaszcza, przewijały się tabuny ludzi, trudno więc było się do niego zbliżyć.

Tęsknię za Gulczewem, które kojarzy mi się z masą zwierząt. Nie tylko końmi, także sową, cielakiem, kotami... Dziadek miał też swoje-

go czasu dużego wilkowanego psa, Barego, na którym jeździłam jako mała dziewczynka. Nigdy też nie wymażę z pamięci zapachu Gulczewa, którym nasiąkaliśmy tak mocno, że utrzymywał się jeszcze w Wesolej, gdzie mieszkamy.

Rok po śmierci dziadka spędziłam w Gulczewie najwspanialsze wakacje. Pojechałam tam z przyjaciółmi, koleżanka przywiozła nawet konie i 25 sierpnia wyprawiliśmy imieniny Ludwika. Przy stole zasiadła masa gości, wśród nich mój synek Antek i ukochany stajenny dziadka, pan Henio Ciach. Wznosiliśmy toasty, cieszyliśmy się, śmialiśmy – myślę, że dziadek obserwując nas z góry, też się cieszył, że o nim myślimy i pamiętamy.

Ania BALA

## **SMAK DZIECIŃSTWA**

Do Gulczewa jeździłam z rodzicami jako mała dziewczynka. Pamiętam Profesora, jego wielki dom i dobermany witające gości. Pamiętam też, że na stoliku w salonie zawsze stał talerzyk pełen pestek z dyni i słonecznika. To był smak mojego dzieciństwa... I tak już zostało.

## KOCHAŁ WOLNOŚĆ

Chciałam w ramach pracy dyplomowej napisać scenariusz. A że akurat napisałam o Ludwiku Maciągu to przypadek. Temat podsunął mi promotor, redaktor Maciej Zimiński (1930–2013), który dobrze znał Profesora. Przekonując mnie do swojego pomysłu argumentował, że z Maciągiem będzie mi po drodze, bo on taki sam pasjonat koni jak ja, ma nawet własną stajnię.

Moja znajomość z Profesorem ani przez chwilę nie miała charakteru służbowego. Kiedy bowiem spotyka się dwóch pasjonatów tej samej dziedziny, to wiek, płeć, bagaż doświadczeń przestają mieć znaczenie. A jak się jeszcze trafia na kogoś takiego jak Profesor, który nigdy nie okazywał wyższości – a przecież z racji swych dokonań mógł – wszelkie formalności okazują się zbędne.

Od pierwszych chwil rozmawialiśmy więc jak starzy znajomi i to nie tylko dlatego, że oboje fascynowaliśmy się końmi. Mieliśmy jeszcze jedną wspólną cechę, w którą zapewne trudno uwierzyć w odniesieniu zarówno do Profesora, jak i do mnie – nieśmiałość. Tak, Ludwik Maciąg był nieśmiały, przy tym niezwykle skromny i szanujący innych. Dostrzegał w ludziach to, co dobre, sprawiał tym samym, że stawali się lepszymi, zaczynali też wierzyć w siebie, tak jak na przykład ja. To właśnie jego wiara we mnie pozwoliła mi nabrać pewności. Ot, choćby w kontekście koni.

Nigdy nie byłam wybitną amazonką, miałam fatalne nawyki wyniesione z wiejskich szkółek, ale z jego końmi znakomicie sobie radziłam. Mogłam od nich wygzekwować wszystko, choć nie groźbą a prośbą, zwłaszcza w przypadku Eosa, ukochanego profesorskiego ogiera. Odkąd Maciąg zobaczył, że Eos podaje mi do czyszczenia cztery kopyta, nie tylko nie mógł wyjść z podziwu, ale zaczął mnie nazywać czarownicą. Zwykł też mawiać: – Przyjeżdżasz do moich koni, a nie do mnie.



A ja dzięki tym koniom poznawałam jego, profesora Ludwika Maciąga. Bo to jest tak: jak człowiek ma przez długi czas jakiegoś zwierzaka, to ten zwierzak przejmuje rozmaite cechy tego człowieka. Eos był surowy... jak Maciąg. Zdyscyplinowany... jak Maciąg. To był taki indywidualny byt stanowiący o sobie... jak Maciąg. Zgadzał się na jeden, jedyny układ: partnerstwo. Znowu jak Maciąg. Potrzebował wolności, niczym powietrza. Kiedy zastanawiałam się, czemu Eos daje mi kopyta, szybko skonstatowałam, że jest tak, ponieważ nigdy go nie więzę, w każdej chwili może odejść, wycofać się. Profesor też kochał wolność.

## TALENTU WYCHOWAWCZEGO DO DZIECI NIE MIAŁ

Ojciec dzielił ludzi na tych, co jeżdżą konno i na tych, co nie jeżdżą. Tych pierwszych uważał za porządných. Ja nie jeździłem, moje dzieci też nie. Nieprawdziwym byłoby jednak stwierdzenie, że to właśnie z tego powodu nie układało się między nami. Stosunki od zawsze były złe, czy nawet bardzo złe. Ojciec nigdy nie miał czasu. Wychowywały mnie babcia i przyszywana prababcia ze strony matki. Tata nie miał też do mnie cierpliwości. Kiedy przychodziło mu uczyć mnie jazdy na rowerze albo pływania, irytował się, że nie od razu czynię takie postępy, jakich oczekiwał i za każdym razem moja edukacja nim się na dobre zaczynała, już się kończyła. Sam doszedłem do tych umiejętności: miałem nawet status ratownika, choć nigdy w tym fachu nie pracowałem. Będąc za to kierowcą rajdowym w „Stomilu” Dębica, uczyłem ojca jazdy samochodem.

Talentu wychowawczego do dzieci (w tym wnuków) nie miał za grosz. Do studentów owszem. Cieszył się zresztą opinią dobrego pedagoga. Akademia Sztuk Pięknych była dla niego całym światem, reszta – w tym ja – nie liczyła się. Stąd też często mieliśmy z sobą na pieńku, bywało, że latami go nie widziałem. A gdy raz na jakiś czas jechałem do Gulczewa z dziećmi, nigdy nie nocowaliśmy w domu, tylko w stodole na sianie. Dla córki i syna była to oczywiście frajda, dla mnie niekoniecznie. Pierwszy raz nocowałem w jego chacie, gdy był już umierający. W tych ostatnich dniach wymieniałem się z Januszem, moim synem, starając się, by któryś z nas stale przy nim był.

## MIAŁ ZE MNĄ LUDWIK DOBRZE



Znaliśmy się z Profesorem od początku lat siedemdziesiątych – zostałem wtedy studentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i trafiłem pod jego skrzydła, jako że prowadził pracownię rysunku i malarstwa dla pierwszego roku. Najlepszego wrażenia na sobie nie zrobiliśmy, o czym sam niejednokrotnie wspominał przy okazji moich wernisaży. Ubrany na czarno, wydałem mu się okropnym ponurakiem, z którym nie da się nawiązać relacji innych niż chłodne; co najwyżej poprawne. On z kolei wystraszył mnie swoją szorstkością wobec studentów, choć od czasu do czasu przekonywałem się, że potrafi być niezwykle ciepły. Na co dzień zachowywał jednak dystans, był zarazem niezwykle wymagający. Baliśmy się go. Dziewczyny przed zaliczeniami płakały po kątach. Był wyjątkowo ostrym pedagogiem, acz bardzo uczciwym i sprawiedliwym. Zawsze miał własne zdanie, ale też bardzo trafne oceny. Oszczędny w słowach, miał znakomite oko do plastyczno-myślowego skrótu. Przez lata zajmował się zresztą ilustracją książkową, a dobry ilustrator takie oko mieć musi. Maciąg był w tym nie tylko dobry, był wybitny.

Piątki nigdy u niego nie miałem. Nie akceptował tego, co i jak rysowałem. Za wzór stawiał mi kolegę z roku, Wojtka Bieleckiego, no-

tabene znakomitego artystę. Ostre korekty naszych studenckich prac w wykonaniu Ludwika to był chleb powszedni. W przeciwieństwie jednak do na przykład Franciszka Starowieyskiego nie kreślił, nie zamalowywał, „nie mazał” po nie swoim rysunku. Mówił tylko, jak powinno być. Okazywał autorom szacunek. Ich niezależność uważał za świętość nawet wtedy, jeśli kompletnie się nie zgadzał z czyjąś wizją i sposobem jej przedstawienia. Nie używał określeń: profesjonalne – nieprofesjonalne. Według niego albo coś było dobre, albo nie.

Kiedy zaliczyłem pierwszy rok studiów, poczułem ogromną ulgę, że wreszcie uwolniłem się od Maciąga. Przeniosłem się wtedy do pracowni malarskiej Michała Byliny. To było wielkie szczęście załapać się z ostatnim rocznikiem, który artysta prowadził przed przejściem na emeryturę. O dziwo, kiedy przestałem być studentem Maciąga, nasze stosunki radykalnie się zmieniły. Rozprawialiśmy o życiu, o sztuce, opowiadał mi o swoich fascynacjach chińską tkaniną i chińskimi akwarelami, dziedzinami, którymi mało kto wówczas się interesował, a jeśli nawet, to nie miał odwagi przyznać się do gustowania w czymś tak niemodnym, zarazem niepolskim i nieeuropejskim. Obcując z Maciągiem poczułem, że dotykam czegoś dla siebie piekielnie ważnego. To nawet trudno wyrazić słowem. Może polegało to na tym, że chciałem go naśladować w dążeniu do perfekcji, zarazem patrzeć na świat jego oczami, nie bać się otwarcie mówić, co mi się podoba, a co nie.

Był typem samouka, choć przecież asystentem samego Tadeusza Kulisiewicza. Do wszystkiego dochodził krok po kroku, mogło się wydawać – jakby po amatorsku, ale dzięki temu osiągnął w sztuce indywidualny język. Wystarczy spojrzeć na obraz i wiadomo, że to płótno Maciąga. Artyści zabijają się o taki własny wyraz. Jego odrębność przedstawia się m.in. w surowości formy, płaskim widzeniu pejzażu, niepowtarzalnej grubej kresce. Plastycy zazdrościli mu tego i nie potrafili dorównać. Z tego też tytułu często nienajlepiej o nim mówili, próbowali marginalizować jego osiągnięcia, krytykując nawiązywanie do malarstwa z przełomu XIX i XX wieku, do Chełmońskiego, Kossaków, Michałowskiego. Szczególnie ostro wypowiadali się plastycy warszawscy. Wiem, że nawet Muzeum Narodowe nie chciało przyjąć w darze od Maciąga sporej liczby jego obrazów. Nic dziwnego



więc, że w atmosferze niechęci czuł się źle. Stąd jego pomysł na emigrację do Gulczewa, nadbużańskiej wsi na Mazowszu, gdzie spędził ponad trzydzieści lat swojego życia.

Brak akceptacji dla sztuki Profesora skutkowało skromną liczbą studentów, którzy chcieliby robić dyplom w jego pracowni malarstwa. Ja chciałem. Wróciłem do Maciąga na piątym roku. Choć nasze relacje były już wtedy bardzo serdeczne, nigdy – za co mu jestem niesłychanie wdzięczny – nie oszczędzał mnie. Do końca swoich dni, jeśli coś mu się nie podobało, krytykował wyjątkowo dosadnie. Najlepszy dowód, że nasza znajomość, czy nawet już wtedy przyjaźń, nie miały znaczenia dla oceny moich prac dyplomowych. Wspólnie z Byliną nie zostawili na mnie suchej nitki. Nawyzywali mnie od dyletantów, wymyślali i odrzucili wszystkie przedstawione przeze mnie prace. Na do widzenia kazali mi pojechać do domu, na Podlasie i malować to, co w rodzinnych stronach najbardziej mnie urzeknie. Maciąg mówił:

– Przecież tam masz kopalnię tematów, cały „kosmos”, krajobrazy, sąsiadów. Czego ci więcej trzeba?

I rzeczywiście. Że ja sam tego wcześniej nie spostrzegłem? Ta jedna podpowiedź Maciąga zaważyła na całym moim malarstwie.

Nie byłem pierwszym skazanym na wygnanie. Swojego czasu Bylina identycznie postąpił z kilka lat ode mnie starszym Tadeuszem Paszko, znanym dziś malarzem. Pojechałem więc na pół roku do moich Dołhobrodów nad Bugiem i całe dni malowałem. Nie byle jak, ale byle gdzie, bo nie miałem tam pracowni. Wyszło nie najgorzej – dyplom obroniłem z wyróżnieniem. Nigdy jednak nie myślałem, ażeby zostać na uczelni! I gdyby nie Profesor, zapewne nie zacząłbym tam pracować. Po czterech latach od obrony mojego dyplomu odezwał się z prośbą, bym na jeden rok zastąpił jego asystenta Marka Niemirskiego, który szedł na dłuższy urlop. Zgodziłem się, choć niechętnie. I tak już tam zostałem. Pracuję na Akademii po dziś dzień.

Miał ze mną Ludwik dobrze, bo permanentnie go zastępowałem. Bywał na Akademii tylko dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki, a pozostałe dni spędzał z końmi albo w podróżach. Wielokrotnie pytał sam siebie, czy bardziej jest malarzem, czy koniarzem. I sam sobie odpowiadał:

– Chyba jednak koniarzem.

Chciał, bym podzielał jego pasję i też jeździł. Replikowałem wtedy:

– Przecież Profesor zawsze mówi, że trzeba być sobą, więc jestem i nie jeżdżę, choć konie bardzo lubię.

Nigdy nie były mi obce – moi rodzice trzymali gospodarskie ko-  
były do pracy w polu, zdążyłem więc się na nie napatrzeć. Nie pocią-  
gały mnie jednak do tego stopnia, by je malować, malować, malować,  
jak czynił to Ludwik. I co ciekawe. Znakomite obrazy koni autorstwa  
Maciąga są często nie do przyjęcia przez miłośników jeździectwa.  
Mówią: – Konie tak nie wyglądają, błąd na błędzie.

No nie wyglądają, ale Ludwik nigdy nie odwzorowywał, sięgał  
zawsze po istotę, po sedno. Dlatego koń Maciąga jest osobny i dosko-  
nały.

## **WISŁA PEŁNA WORECZKÓW**

Mój mąż był zapalonym wodniakiem. Któregoś roku zaproponował Ludwikowi wspólny spływ. Wyruszyli z Warszawy do Torunia. Kazik wypłynął dzień wcześniej kanadyjką z naszym jamnikiem, słynnym Apusiem, zabierając na pokład bardzo skromny bagaż. Ludwik wypłynął ze swoim synem Krzysztofem dwa dni później łódką dmuchaną. Załadowali do niej dziesiątki mniejszych i większych woreczków z kaszą, makaronami, cukrem... Ilości niewyobrażalne.

Kazik zdążył dotrzeć do Płocka i czekał tam na nich z rosnącym niepokojem. Łódki Ludwika nie było i nie było. Zachodziła obawa, że coś się stało. Kontaktu jednak żadnego. O komórkach nikt jeszcze wtedy nie słyszał. W końcu dopłynęli. Kazik zwrócił Ludwikowi uwagę, że w jednej z gumowych komór jego łódki jest zbyt mało powietrza. Ten jednak zamiast wziąć pompkę do tego przeznaczoną, skorzystał z portowej pompy tłoczącej. Zadowolony, że tym sposobem pójdzie raz dwa i bez wysiłku, podłączył urządzenie, które wypuściło z siebie tak mocny strumień powietrza, iż spawy gumowych komór utrzymujących łódź na wodzie rozeszły się w szwach w ułamku sekundy. Co prawda dało się płynąć, tyle że łódka zmieniła kształt. Wyglądała komicznie, jakby spuchła z jednej strony. Ale to nie koniec przygód. Następna miała miejsce już w Toruniu. Dopływając do tzw. Martwej Wisielki, Kazik ostrzegł Ludwika: – Uważaj na płyciznie! Tam mogą być konary...

Nie zdążył skończyć zdania, gdy dobiegł go charakterystyczny odgłos rozpruwającego się dna łódki. Po chwili ujrzał w wodzie dwie głowy – starszą i młodszą, a wokół setki woreczków z kaszą, mąką, cukrem zmierzających z prądem do Gdańska.

Szymon KOBYLIŃSKI

## O LUDWIKU MACIĄGU<sup>4</sup>

On był wśród nas tym, kim Podbipięta przy Zagłobie i Wołodjowskim, kimś cnotliwszym niż sam Skrzetuski. No i jako jedyny był zaręczony, na dodatek w wojennych latach, w scenerii partyzanckiej „ułana i dziewczyny” z budzącą w nas wielki respekt Ewą (notabene pracującą naówczas w sekretariacie ASP).

---

<sup>4</sup> Szymon Kobyliński, *Noniusz. Wspominki z życia zewnętrznego*, Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1986, str. 108.

## NAJPIERW BYŁ DZIADKIEM, POTEM LUDWIKIEM

Ludwik Maciąg był przede wszystkim POSTACIĄ. Postacią wyjątkową. I jako człowiek, i jako artysta. To jak żył, jaki miał stosunek do ludzi, natury, przedmiotów, było świadectwem jego „ja”. Bo o sobie prawie nie mówił, bardzo trudno było coś z niego wyciągnąć. Chętnie włączał się do dyskusji, z przyjemnością snuł arcyciekawe opowieści, tyle że nie o sobie. Nigdy też nie mówił, że coś trzeba zrobić, tylko robił. Za swój obowiązek uważał osvajanie ludzi ze sztuką przez duże „S”. Docierał do tych, którzy z racji choćby miejsca zamieszkania mieli utrudniony albo wręcz niemożliwy dostęp do malarstwa, rysunku, grafiki... Niósł pod strzechy ten swój kaganek oświaty; tak po cichu, bez zamieszania i sensacji. Zwłaszcza pod strzechy okolic Wyszkowa, gdzie mieszkał przez przeszło trzydzieści ostatnich lat. To dzięki niemu wielu zaczęło odróżniać na przykład akwarełę od oleju, a linoryt od miedziorytu i nabierać szacunku dla piękna. Tworzone przez Maciąga prace emanowały niesamowitą wrażliwością. Kontrastowały zarazem z jego kawaleryjską prezencją. Tym, którzy nie mieli okazji bywać z nim często i w prywatnych okolicznościach, jawił się niczym twardziel nad twardzielami.

Ja miałam szczęście znać go bardzo blisko, oczywiście za sprawą mojego dziadka Szymona. Panowie studiowali na tym samym roku, na Wydziale Grafiki warszawskiej ASP. Przyjaźnili się całe lata, najpierw w Warszawie, potem w okolicach Liwca i Bugu, gdzie Ludwik mieszkał, a Szymon spędzał moc czasu od wiosny do jesieni. Właśnie tam, na mazowieckiej wsi, poznałam Ludwika, gdy miałam jakieś cztery lata. Był uznanym artystą, nie miał już wtedy nic z szarej myszki, jaką wydawał się w okresie studiów, a o czym opowiadał mi dziadek. To zapewne konsekwencje wojennych, ale też powojennych przeżyć, gdy za przynależność do AK Maciąg musiał kryć się przed bezpieczeńką, podejmując pracę masztalerza w stadninie koni w Janowie Podlaskim.

Moje kontakty z Ludwikiem miały niemalże rodzinny charakter, nawet zwracałam się do niego *per* dziadku. Co prawda tylko do pew-

nego czasu, ale trwało to długo. Kiedy skończyłam szesnaście lat, zaproponował mi brudzia, kategorycznie przy tym prosząc:

– Nie mów więcej do mnie „dziadku”, bo mnie postarzasz! – No to zaczęłam mówić: Ludwiku.

Wiele wyniosłam z tej naszej znajomości. Był Ludwik, obok dziadków Kobylińskich, recenzentem moich prac. Dodawał mi skrzydeł, wierzył w moje zdolności plastyczne i mimo mojego bardzo młodego wieku, w pewną artystyczną dojrzałość. Byłam przecież nastolatką, gdy zaprosił mnie na Pierwszy Plener Malarski do nieistniejącej już stadniny koni arabskich „Korfowe”, Joanny Grootings. To była pożywka dla duszy i ciała, a przede wszystkim możliwość podpatrywania warsztatu mistrza. Ludwik nie lubił tłumaczyć, dlaczego maluje tak, a nie inaczej. Nie sposób było dowiedzieć się, gdzie tkwi jego tajemnica. Można ją było co najwyżej rozszyfrowywać, przypatrując się nakładaniu kolejnych warstw farby na płótno. Podglądałam więc, wyciągałam wnioski, brałam dla siebie, ile tylko mogłam. Dziś mam satysfakcję, że znajomość z nim była mi w ogóle dana i że obaj z Szymonem kształtowali moją artystyczną świadomość.

## O SZYMONIE I WERONICE

Byliśmy w wielkiej przyjaźni i z Profesorem, i z jego przyjacielem Szymonem Kobylińskim. Kilka miesięcy przed śmiercią Szymon namalował obraz „Roch Kowalski z Zagłobą”, który notabene nam sprezentował, a który Ludwik właśnie u nas zobaczył. Przyjrzawszy mu się uważnie, zażartował:

– O, Szymonek nauczył się malować!

Profesor zachwycał się też talentem jego wnuczki, Weroniki Kobylińskiej, kostiumografki i graficzki.

– Zdolna, bardzo zdolna – mówił o niej.

## PODOBA SIĘ, PODOBA

Pewien prosty człowiek wyświadczył Ludwikowi przysługę. Profesor uznał, że powinien się jakoś zrewanżować i sprezentował mu akwarelkę. Obdarowany przyglądał się jej dłuższy czas, nie zdradzając jednak jakichkolwiek emocji.

– Nie podoba się panu? – zapytał Profesor ze zdziwieniem w głosie.

– Podoba się, podoba! – odrzekł zdecydowanym tonem, po czym złożył ową akwarelkę na cztery i schował do kieszeni.



## NIE JESTEŚ POETĄ TYLKO MALARZEM

Lubiłem te nasze spotkania pełne niezwykłych dysput. Jedna ważniejsza od drugiej. Z Ludwikiem nie można było rozmawiać o niczym, nie znosił przelewania pustego w próżne, bezsensownej gadaniny. Nieraz żalił mi się: – Wiesz, był u mnie X i tak koszmarnie nudził, że ledwie to wytrzymałem. A do tego straciłem całe półtorej godziny. Zdążyłbym namalować jakąś akwarelkę.

Ludwik był wrogiem marnotrawienia czasu. Potrafił mobilizować do działania innych, mnie również. Kiedyś wspomniałem któryś raz z rzędu o pomysle na obraz. Zezłościł się wtedy i rzekł:

– To weź się w końcu do roboty, przestań gadać. Nie jesteś poetą tylko malarzem!

Z Profesorem nie tylko dyskutowałem, nie tylko słuchałem jego wnikliwych, wyważonych ocen. Razem bywaliśmy na plenerach malarskich, razem jeździliśmy konno. Nie sposób zliczyć wspólnych Hubertusów czy rajdów. Profesor dosiadał koni niemal do końca życia – głównie ogierów. Ale że miał już swoje lata czułem się w obowiązku troszczyć o niego, zapewniać mu „komfort” podróży. On tymczasem wciąż genialnie dawał sobie radę sam. Oto na przykład przejeżdżaliśmy obok łąnów zbóż. Ludwikowi wplątał się w strzemię spory chwast i drażnił brzuch konia. Wyraźnie zdenerwowany wierzchowiec wyskoczył na szosę. Zamarłem w przeciwieństwie do Profesora. Trzeba było widzieć z jakim spokojem osiemdziesięcioletni jeździec opanowuje zwierzę. Niejeden młodzik fiknąłby kozła, ale ułan to ułan. Nawet dosiadać można się było od niego uczyć!

Przyjaźń z Ludwikiem była jedną wielką przygodą. Poznaliśmy się dawno temu, na warszawskiej ASP, gdy jeden z nas był już uznanym twórcą, drugi ledwie początkującym. Postać Profesora zafascynowała mnie przy pierwszym spotkaniu. Im lepiej go poznawałem, tym bardziej byłem nim zauroczony. Podziwiałem jego twórcze dokonania, nie tylko malarskie, także znakomite ilustracje książkowe i znaczki. Kiedyś pobiegłem na pocztę i wykupiłem cały nakład nowej serii, nie

omieszkałem zresztą powiedzieć o tym Profesorowi. Ten żartował, że ludzie znają go wyłącznie ze znaczków i etykietek. To był gorzki żart, bo latami naprawdę tak myślał.

Spotkało mnie wielkie szczęście, że trafiłem akurat pod nauczycielskie skrzydła Ludwika. A niewiele brakowało, bym nigdy nie został jego studentem. Profesor prowadził bowiem zajęcia ze słuchaczami III roku i lat wyższych. Nie miałem pewności, że zajdę aż tak daleko. Obawy w żadnym razie nie wynikały z braku wiary w moje twórcze możliwości. Brały się z braku matury. To nie przejęzyczenie: zdałem na studia bez świadectwa dojrzałości, stąd warunkowy wpis na listę słuchaczy ASP.

## BIEL MA KILKA ODCIENI

W wieku szesnastu lat opuściłem rodzinny dom w górach i rozpocząłem naukę w utworzonym akurat wtedy (2004 rok) Technikum Hodowli Koni w Janowie Podlaskim. Dach nad głową w zamian za pracę przy koniach i dojenie kóz zaferował mi znany malarz, Maciej Falkiewicz. To za jego sprawą poznawałem bardziej i mniej znanych twórców, także artystę z najwyższej półki, Ludwika Maciąga. Wybitny malarz traktował mnie od początku niezwykle serio, choć byłem smarkaczem. Dlatego każde spotkanie z nim miało dla mnie niezwykłą wagę i wносиło w moje życie coś nowego – rozbudzało wyobraźnię, poszerzało horyzonty.

Po dziś dzień wspominam nasze rajdy konne do Jezior. Profesor nawet w czasie drogi dzielił się tym, co według niego było cenne, a czego najpewniej nikt inny by mi nie uświadomił. Ot, na przykład, zwracał uwagę na kolor nieba.

– Spójrz – mówił – teraz jest białe, ale to nie jest jeden biały kolor. Bieli jest wiele: ta ciemniejsza, tamta jaśniejsza. O, a tamta pośrednia. Za godzinę będzie jeszcze inna, za dwie, trzy nie do poznania...

Takich przykładów mam setki. Dzięki Maciągowi zaczynałem widzieć to, co wcześniej dla mnie nie istniało. Profesor patrzył na świat obrazami. Uczył tego patrzenia innych. I chwalała mu za to.

Mój udział w rajdach do Jezior miał też komiczną stronę. Ledwie dotarliśmy do celu po iluś godzinach w siodle, wskakiwałem do samochodu, by jak najszybciej wrócić do Janowa i wydoić kozy. Profesor łapał się wtedy za głowę i pytał:

– Czy naprawdę w całym Janowie Podlaskim nie ma nikogo, kto mógłby cię zastąpić?

Nie umiałem na to pytanie odpowiedzieć.

Moja znajomość z Ludwikiem Maciągiem trwała kilka lat. Jeździłem do niego do Gulczewa, uczestniczyłem też w wielu wernisażach. Pochwalę się nawet, że i on zaszczyił swoją obecnością moją amatorską wystawę fotografii. Widywaliśmy się więc co jakiś czas, ale nie tak

często, jak bym tego sobie życzył. A bywanie w jego obecności, rozmowy z nim, przysłuchiwanie się dysputom, które prowadził z innymi, były dla mnie lekcjami z takimi ładunkami edukacyjnym i emocjonalnym, jakich zapewne już nikt nigdy mi nie da. Podczas moich studiów w Warszawie nasze kontakty miały być intensywniejsze.

– Zamieszkaś bliżej, to i wpadać do Gulczewa będziesz mógł częściej – powtarzał Maciąg.

Cieszyłem się na samą myśl o tym. Niestety z planów nic nie wyszło. Profesora, jak wszyscy wiemy, zaatakowała okrutna choroba. Odwiedzałem go wtedy parokrotnie. Do końca, choć było to zupełnie irracjonalne, łudziłem się, że wyzdrowieje i znów wybierzemy się końmi na nadbużańską przejażdżkę.

## OCALILI LONDYN

Profesor często wspominał Oddział Partyzancki 34. Pułku Piechoty Armii Krajowej, w którym służył podczas wojny. Oddział dowodzony przez „Zenona” – majora Stefana Wyrzykowskiego przyczynił się m.in. do zdobycia, a następnie przekazania aliantom niewybuchu rakiety V2, która spadła w rejonie Sarnak na Podlasiu. Powiadają historycy, że dzięki rozpracowaniu konstrukcji pocisku, rozstrzygnięto losy wojny. Nie miejsce tu jednak, by zagłębiać się w szczegóły. Wspominam o tym dlatego, że na pamiątkę przejścia pocisku przez akowców, odsłonięto w Sarnakach pomnik<sup>5</sup>. Jest to replika fragmentu rakiety V2, której towarzyszy napis: „Oni ocalili Londyn”. Niektórzy twierdzą, że wystawiono monument na cześć konstruktorów rakiety... Ludwik wziął udział w uroczystości odsłonięcia pomnika, ja niestety nie mogłem.

– Czy ty wiesz, czy ty możesz to sobie wyobrazić – mówił Profesor – że nikt nie wspomniał ani o zasługach Oddziału „Zenona”, ani o obecności żołnierzy tegoż oddziału na uroczystości? Gdybym nie sięgnął po mikrofon, pies z kulawą nogą, by o nas nie przypomniał.

Ludwikowi było okropnie przykro. Nie dziwię się i dlatego wracam do tej historii na kartach niniejszej książki.

<sup>5</sup> Autorem pomnika jest architekt Marek Ambroziewicz (1923–2001), żołnierz „Zenona”.

## TAKIM GO PAMIĘTAM

Ludwik miał dość chłodną naturę, nie lubił się otwierać, chyba że wspominał czasy partyzanckie. Interesowało go zresztą wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z wojną. Pewnie dlatego tak chętnie słuchał moich historii. Jako łączniczka Armii Krajowej współpracowałam z komórką kontrwywiadu 993G, a mój przyszły mąż, Leszek Zbyszynski, był żołnierzem słynnego batalionu harcerskiego „Zośka”.

Ludwik – pamiętam to nadzwyczaj dobrze – emanował niespotykanym dziś patriotyzmem, ale nigdy nie mówił, że jest patriotą. On nim był i to się czuło na każdym kroku! Był też niezwykłym artystą, o czym wiedzą miłośnicy jego sztuki. Nie wszyscy jednak orientują się, iż artystyczną wrażliwość przekazał w genach swoim wnukom: Joannie i Januszowi. Ona zajmuje się ceramiką, on z wyróżnieniem obronił dyplom na Wydziale Malarstwa warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. O talentach obojga Ludwik opowiadał z przejęciem, m.in. na wspólnej wyszkowskiej wystawie dziadka i wnuków.

Bywałam na wielu wernisażach Ludwika. Zawsze była to okazja, by się zobaczyć, bo choć łączyły nas więzy rodzinne, widywaliśmy się tylko od czasu do czasu. Przede wszystkim w święta albo imieniny lub urodziny kogoś z najbliższych.

## OBCY

Dziadka zapamiętałem jako bardzo oszczędnego i to pod wieloma względami. Jednym smagnięciem pędzla umiał wyrazić więcej niż inni malarze, miał szacunek dla papieru. Rysował i malował nawet na skrawkach, zbierał też wszystko, co mogłoby się do czegoś przydać, nawet krzywe czy zardzewiałe gwoździe. Oszczędzał też opał. Nic więc dziwnego, że wszyscy goście narzekali na chłód. Był też w mojej obecności małomówny.

Przez jakiś czas miałem z nim znacznie częstsze kontakty niż siostra i mama. Brało się to może z moich manualnych predyspozycji. W rodzinie od zawsze mówiono o mnie: złota rączka. Ta rączka przydawała się także dziadkowi, choćby przy budowie okólnika dla koni albo niewielkiego stawu opodal domu. Dziadek usytuował go w takim miejscu, by z okna móc oglądać odbijający się w wodzie księżyc. Stawialiśmy też we dwóch wiatę na trociny, którymi paliło się w piecu. Solidna konstrukcja o powierzchni kilkunastu metrów kwadratowych niestety długo nie przetrwała. Jakiś tydzień po zakończeniu robót, dziadek zadzwonił do mamy i powiedział:

– Przekaż Jaśkowi, że z naszej wiaty nici. W zabudowania gospodarcze trafił piorun i wszystko spłonęło.

Ale nie strata materialna i stracony czas bolały dziadka najbardziej. Rozczarował się postawą miejscowych. Ludziska tłumnie się przyglądali pożarowi, ale nikt nie pospieszył na ratunek. Wydawało mu się, że swój swojemu pomoże. Okazało się, że on wciąż jest dla nich obcy.

Przy okazji moich pobytów w Gulczewie, gdy miałem jakieś 14–15 lat, dziadek próbował zarazić mnie miłością do koni. Sprezentował mi nawet konika polskiego, Drzemlika. Przez mniej więcej rok jeździłem, ostatecznie wybrałem relację koń – człowiek, a nie koń – jeździec. Robienie czegoś na siłę nie ma sensu. Podobnie, jak z moim malarstwem. Poszedłem na ASP, bo chciałem sprawdzić, na co mnie stać, zorientować się, czy odziedziczyłem zdolności po wielkim

Ludwiku Maciągu. W jakimś stopniu odziedziczyłem – moja praca dyplomowa została wyróżniona, ale na tym zakończyłem przygodę z malowaniem. Nie chciałem zajmować się zawodowo tym samym, co dziadek, bo byłbym nieustannie z nim porównywany. Żeby jednak dojść do takiego wniosku, potrzebowiałem czasu.



## ŻAL, ŻE WYPŁATA TYLKO RAZ W MIESIĄCU

Gdy tylko dostałem się na ASP, musiałem, jak wszystkie „pierwszaki”, wybrać profesora, pod kierunkiem którego zamierzałem studiować. Jako jedyny z mojego rocznika zdecydowałem się kształcić w pracowni Ludwika Maciąga. Kiedy jednak w pierwszych dniach października zgłosiłem się na zajęcia, nie zastałem tam ani Profesora, ani kolegów ze starszych lat, jedynie asystenta Marka Niemirskiego. Ten powiedział mi, co mam robić i zostawił sam na sam z modelem. Od tej pory wpadał sporadycznie. Któregoś dnia, kiedy ślęczałem nad zleconym przez niego zadaniem, ktoś niespodziewanie otworzył drzwi.

– O przepraszam, pomyliłem pracownię – rzekł znacznie starszy ode mnie mężczyzna z siwymi włosami i natychmiast wycofał się, by po chwili wrócić:

– Nie! To przecież moja pracownia! – powiedział jakby do siebie, ale zaraz rzucił ostro w moją stronę:

– Co pan tu robi?

– Maluję – wykrztusiłem przerażonym głosem, domyślając się, że ów pan to zapewne profesor Ludwik Maciąg.

– Ach ta arystokracja! – skomentował postawę swoich studentów, którzy notorycznie przedłużali sobie wakacje przynajmniej do początku listopada.

Maciąg nie omieszkał okazać zdziwienia nie tylko brakiem słuchaczy, ale przede wszystkim tym, że ktoś znowu chce studiować pod jego kierunkiem. W efekcie bowiem rozmaitych rozgrywek uczelnianych, studenci wstępujący do Akademii omijali jego pracownię. Ja nie ominąłem, bo ktoś – nie pamiętam kto – doradził mi: jeśli chcesz się czegoś nauczyć, to tylko u Maciąga. Poszedłem więc do niego, ale z każdym dniem czułem się coraz bardziej rozczarowany. Zajęcia z Profesorem były nadzwyczaj rzadkie, nie wydarzało się nic, co mogłoby mnie zaskoczyć, porwać, poruszyć. No może poza tym, że zrobiło mi się żal Maciąga, gdy dotarła do mnie wiadomość, że zasypało go w Gulczewie i nie może się stamtąd wydostać... (*śmiech*).



Maciągowa legenda, z którą wstępowałem na uczelnię, coraz bardziej się rozmywała. Aż przypadkiem natknąłem się w Empiku na numer miesięcznika „Koń Polski” z reprodukowaną profesorską „Somoosierrą”. Wtedy zrozumiałem, że w tym wszystkim, co mi opowiadano o Maciągu, nie było krzty przesady. Obraz zrobił na mnie piorunujące wrażenie. W domu przeczytałem również, ilustrowany tymże obrazem, tekst pióra Stanisława Ledóchowskiego i ... zakochałem się w Mistrzu bez reszty. Jakiś czas później trafił w moje ręce inny numer „Konia Polskiego”, tym razem z reprodukcją obrazu „Husaria”. Przyniosłem go na wydział i pokazałem asystentom prowadzącym zajęcia z technik ściennych, z których robiłem specjalizację. Kiedy zobaczyli husarzy kierujących piki w dół, zaczęli pokładać się ze śmiechu i komentować:

– O, polowanie na myszy!

Ostro wtedy zareagowałem:

– On przynajmniej czegoś dokonał, a wy? Czym wy możecie się pochwalić? No czym?

Wątpię jednak, czy moi adwersarze cokolwiek zrozumieli. Niestety, Profesor i jego pracowania były obiektami kpin pseudoartystów

i zazdrośników, a takich na ASP w tamtym czasie nie brakowało. Ja za to darzyłem go nie tylko coraz większym szacunkiem, ale miałem dla niego coraz większe uznanie za sztukę, którą uprawiał. Co prawda bywałem na Profesora zły, że poświęca mi zbyt mało czasu, ale przecież miał też innych studentów. Na zajęciach w pracowni niewiele było wnikliwych analiz, wyczerpujących rozmów. Jeśli chciałem się czegoś więcej dowiedzieć, musiałem z Profesora wyciągać. Dlatego chętnie uczestniczyłem w wypadach do kawiarni „Europejskiej”. Profesor w dniu wypłaty zapraszał tam studentów na pączki. Korzystaliśmy z okazji, by zadawać mu różne pytania dotyczące np. jego warsztatu, żałując zarazem, że pensję płacą mu tylko raz w miesiącu.

**Młodzi artyści o sztuce Ludwika Maciąga**  
**Agnieszka ZABRODZKA (dyplom 2015)**

\*\*\*

Z malarstwem profesora Ludwika Maciąga zetknęłam się po raz pierwszy na Akademii Sztuk Pięknych. Stało się to dzięki profesorowi Stanisławowi Bajowi, uczniowi Ludwika Maciąga. Najpierw zainteresował mnie album wydany przez Wydawnictwo „Publicus”, a następnie miałam okazję obejrzenia oryginałów kilkudziesięciu obrazów zgromadzonych przez Państwa Kępskich. W malarstwie tym urzekły mnie przede wszystkim genialne w swej prostocie rozwiązania, szorstka materia obrazów złagodzona przez romantyczną tematykę. W malarstwie szczególnie bliski jest mi pejzaż, sposób potraktowania go przez profesora Ludwika Maciąga zachwycił mnie. W niektórych obrazach zaciera się granica między realizmem a abstrakcją, co było dla mnie bardzo inspirujące.

## WSPÓLNY JĘZYK

Nie będę mówił o Maciągu: „mój Profesor”, tylko „nasz”, bo pod jego kierunkiem kształciła się również moja żona, Aleksandra, z którą studiowałem na jednym roku. Trafiliśmy do Ludwika, gdy nasz poprzedni nauczyciel, Michał Bylina, przeszedł na emeryturę. Wybór pracowni Maciąga, tak jak wcześniej Byliny, był z mojej strony od początku do końca świadomy. Obaj twórcy osadzeni w polskich realiach, erudyci, umieli uczyć. Nie preferowali aktualnie modnych trendów w sztuce, byli wierni własnym ideałom, pozostawiali studentom swobodę wypowiedzi. Z owej swobody skorzystałem na IV roku, gdy ujawniłem moje zainteresowania malarstwem koni, choć w tamtym czasie było to wciąż jeszcze bardzo źle widziane. Źle przez ideologów systemu i przez większość profesorów, poza właśnie Maciągiem czy Byliną, którzy sami podejmowali taką tematykę.

Życie Ludwika, podobnie zresztą jak moje po dziś dzień, toczyło się wokół koni, szybko więc znaleźliśmy wspólny język nie tylko na płaszczyźnie „uczeń-nauczyciel”, także prywatnej. Nawet zwracaliśmy się do siebie po imieniu, nim zdążyłem obronić dyplom.

## DOBRE Z CIEBIE CHŁOPISKO

Poznaliśmy się w 1975 roku, gdy Ludwik Maciąg nastał na gulczewskiej ziemi. Początkowo wymienialiśmy tylko ukłony, czasem zamieniliśmy parę słów. To mnie spytał pan Maciąg, gdzie mógłby kupić jakieś stare chałupy, z których dałoby się pozyskać drewno na budowę domu. Rozpuściłem wici. A kiedy budulec się znalazł, na posesję Profesora transportował go mój ojciec, Stanisław. Ile razy obrócił furmanką, trudno zliczyć, w każdym razie i on się spracował, i kobyła.

Pan Maciąg nie tylko zaprojektował dom, ale wiele też sam przy nim robił. Własnoręcznie kopał fundamenty i wybierał ziemię pod piwnice. Mordował się strasznie, bo lato tamtego roku było nadzwyczaj upalne. Co jakiś czas przerywał robotę na kąpiel w Bugu, by ciało trochę schłodzić i wracał do łopaty. W pewnym momencie stwierdził jednak, że zbyt duża to strata czasu takie ganianie do rzeki i wymyślił, by wkładać głowę do kubła z lodowatą wodą, taką wprost ze studni. Zobaczył to mój tata:

– Pan uczoney, ale nie na wszystko. Proszę tak nie robić, bo może bardzo zaszkodzić.

– Nic mi nie będzie – odpowiedział Profesor.

– I lepiej, żeby nie było – ostrzegął ojciec.

Wieczorem pana Ludwika rozboleła głowa. Mocno się wtedy wystraszył, czy to aby nie coś poważnego. Na szczęście pobolała i przestała, ale już nigdy więcej nie próbował chłodzić się w wiadrze.

– Czegoś się nauczył – żartuje pan Henryk.

Budowa trwała kilka lat, w 1979 roku Ludwik Maciąg wraz z żoną Ewą osiedli w Gulczewie na stałe. Wówczas Profesor wprowadził do przydomowej stajni pierwszego konia, Perseta, oczywiście araba. Ale że w tamtym czasie pracował jeszcze w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, musiał znaleźć kogoś do opieki nad koniem. Przeszedł więc na drugą stronę piaszczystej drogi, zastukał do drzwi mojej starej chaty:

– Panie Heniu, nie zaopiekowałby się pan Persetem, pan tak lubi zwierzęta, widzę, jak pan dba o swojego konia, o krowy...

– A czemuż by nie – odrzekłem.

I tak przez blisko trzydzieści lat, codziennie o piątej rano, maszerowałem do niewielkiej profesorskiej stajenki i karmiłem najpierw Perseta, z czasem Barona, Alcazara, Zagończyka, Drzemlika, Eposa... Ludwik Maciąg trzymał przeważnie po dwa konie, do końca były z nim Eos i Emisja. Wszystkie chodziły za mną jak psy, ledwie przywołałem, a już były przy mnie. Nie tylko dawałem im jeść, ale czyściłem i wyprowadzałem na padoki, sprzątałem boksy. Nieraz zaprzęgałem do bryczki, Profesor bardzo lubił przejażdżki po okolicy. Pamiętam, jak wybrał się z żoną nad Bug i jaką mieli przygodę. W drodze Baron złął się betoniarki i poniósł, wyrrywając się z zaprzęgu. Dobrych kilka metrów włókł za sobą Profesora, który na szczęście szybko puścił lejce i uwolnił się z pułapki. Ledwie wstał, a już był przy żonie, by sprawdzić, czy nic się jej nie stało, potem pognął do stajni, by zobaczyć, czy koń cały, a dopiero na końcu przyjrzał się sobie, czy przypadkiem jemu nic nie dolega. Taki to był człowiek: zawsze myślał o innych, na siebie rzadko zwracał uwagę.

Mnie traktował niemal, jak członka rodziny. Proponował mi nawet bruderszaft, ale nie zgodziłem się.

– No jak to tak, on Profesor, do tego starszy ode mnie, grubo ponad dwadzieścia lat, jakby to wyglądało? Tak nie można. Powiedziałem, żeby do mnie zwracał się per „ty” a ja do niego normalnie. I tak zostało, bardzo się z tego cieszyłem.

Codziennie razem piliśmy przynajmniej po jednej kawie, rozmawiając o życiu, polityce, o koniach. Profesor z każdym umiał pogadać. Z takim jak ja i z takim z wielkiego miasta. Czasem to i przygadać potrafił, i to jak skutecznie! Jak mu się kiedyś zepsuła pralka na gwarancji, pojechał do punktu serwisowego w Wyszkowie. Dwóch smarkatych pracowników udawało, że go nie widzą i nie słyszą, co do nich mówi, jeden w końcu się oburzył:

– Nie widzi pan, że śniadanie jemy, nawet odpocząć nie ma kiedy!

Zaczął krzyczeć, drugi dołożył swoje, a kiedy zamilkli, Profesor zapytał ze spokojem w głosie:

– Skończyliście? Jeśli skończyliście to posłuchajcie: jak wy się do mnie odzywacie, ja mam syna starszego od was, co wy sobie myślicie, ja nie potrafiłbym odezwać się do moich studentów, tak jak wy do mnie!

I... coś musiało do nich dotrzeć, bo przeprosili i zajęli się pralką. Oczywiście nie mieli pojęcia, kto był ich klientem.

W pierwszych latach pobytu Profesora w Gulczewie niewiele wiedziało, czym się zajmuje. Z czasem rozeszło się, że to jakiś malarz, długo jednak ludziska nie mieli pojęcia jaki. Ja miałem pojecie i to doskonale! Nikt z Profesorem nie był tak blisko. Znałem chyba wszystkie jego obrazy. Najbardziej podobały mi się te z końmi, ale nie z tymi wierzchowymi tylko gospodarskimi, zaprzęgniętymi do furmanek. Jedną z takich „końskich” akwarelek dostałem w prezencie. Dziś nie patrzę na nią, jak na dzieło sztuki. To wyjątkowa pamiątka po serdecznym przyjacielu.

Rozmawiałem z Profesorem w przeddzień jego śmierci. Wiedział, że odchodzi, na pożegnanie powiedział mi:

– Dobrze z ciebie chłopisko.

Kiedy zabrakło pana Maciąga i jego koni, czas się dla mnie zatrzymał. Wstaję świtem, jak wstawałem, zerkam na usytuowaną pośród drzew profesorską willę, ale do stajni nie mam już po zaglądać.



## CHATA W LESIE

W latach siedemdziesiątych Ludwik z Ewą coraz częściej mówili o przenosinach gdzieś dalej od Warszawy. Któregoś wieczoru przynieśli nawet do nas zrobioną z pudełka po butach makietę ich przyszłego domu. A że oboje kochali przyrodę, wspominali, iż najchętniej osiedliliby się w pobliżu rzeki na leśnej działce. Tak też się stało, o czym wiedzą wszyscy, którzy ich znali. Nim jednak się to stało, wiele wody w Bugu upłynęło, czego wraz z moją żoną byliśmy świadkami. Tygodniami, w soboty i niedziele wyruszaliśmy z Ludwikiem i Ewą ich trabantem na poszukiwania atrakcyjnej lokalizacji. Zjeździliśmy teren wokół stolicy wzdłuż i wszerz, w promieniu sześćdziesięciu kilometrów. Naszemu przyjacielowi żadna działka nie odpowiadała. A to za mała, a to za duża. Przestałem wierzyć, że coś przypadnie mu do gustu, ale w końcu była to jego sprawa: jego i Ewy. Namówiłem Ludwika jeszcze, by wybrał się nad Bug do wsi, którą zasugerowała mi znajoma. Mało tego, wskazała nawet rolnika mającego ziemię do sprzedania. Pojechaliliśmy, jednak panowie nie dogadali się. Chwilę później zaczepił nas za to zupełnie obcy gospodarz (Franciszek Grzeškiewicz) i zaciekawiony spytał, co nas sprowadza w te strony. Odpowiedziałem, że szukamy działki.

– A ja taką mam! – oznajmił.

Kilka minut później byliśmy na jego gulczewskiej ziemi. Piękna leśna działka, niedaleko Bugu. Czegóż więcej chcieć! – pomyślałem. Ale artysta widać czegoś jeszcze chciał, bo marudził, marudził i znowu z transakcji nic nie wyszło. Wróciliśmy do Warszawy, ale Ludwik do Gulczewa pojechał ponownie, tyle że nic mi nie powiedział. Wybrał się tam ze swoim starym przyjacielem Kazimierzem Perucim, którego zdanie cenił nadzwyczaj. Tak bardzo, że nadbużańska działka zaczęła mu się podobać.

Szybko załatwiliśmy formalności i Ludwik mógł konkretyzować swoje budowlane plany. I tu następuje, przynajmniej dla mnie, rzecz niesłychana. Oto bowiem siedzimy w Wesołej, Ludwik szkicuje

kształt wymarzonej chaty, ale nie w taki sposób, jak by to zrobił każdy z nas; rysunek zaczął od komina; parter naniósł na kartkę na końcu. Patrzyłem i nie mogłem uwierzyć, że tak można. Jakąż trzeba mieć wyobraźnię, jakiż talent!

A kiedy już nastał czas budowy, Ludwik wymyślił, że sam wykopie dół pod fundamenty. Katorżnicza robota dla niewprawionego w pracy fizycznej, zwłaszcza, że wymiary domu to aż osiem na dwaście metrów i jeden metr głęboki. My i znajomi doradzaliśmy: namaluj obraz, sprzedaj, zamówisz koparkę. On jednak uparł się i kopał z moją pomocą, mordując się okropnie, zwłaszcza że było to latem i atakowały niezliczone roje meszek. Oblepiony robactwem biegał co chwila kąpać się w Bugu, po czym kopał dalej.

Mam wiele wspomnień związanych z budową domu, choćby z najprawdziwszego przyjęcia, jakie na działce pod drzewami Ewa i Ludwik wydali późnym wieczorem dla kilku okolicznych gospodarzy, którzy swoimi furmankami przewozili w częściach starą chałupę na Ludwikowy plac budowy. Byli tam: Franciszek Grześkiewicz, Henryk Ciach z ojcem Stanisławem, rodzina Wróblów ze Stefanem Wróblem – majstrem nad majstrami, cieślą i budowniczym domów posługującym się wyłącznie żelaznym kątownikiem, ołówkiem i siekierką.

Wszystko prości chłopci, ale jakże inteligentni, jakże mądrzy, dowcipni, choć przecież niewykształceni. Słuchanie ich było ucztą dla duszy.

\*\*\*

Zanim Ludwik postawił dom, zbudowaliśmy stajnię. Początkowo pełniła funkcję magazynu materiałów budowlanych i roboczej sypialni z sianem w charakterze łóżek. Z czasem zamieszkały tam konie, a wtedy Ludwik spędzał z nimi dosłownie każdą wolną chwilę. Mało tego, zarażał miłością do koni wszystkich, z którymi się stykał. Któregoś dnia zapytał mnie:

– Henryk, a dlaczego wy z Wandą nie macie konia? Powinniście mieć!

Wkrótce mieliśmy.

## ŻEBY NIE BYŁO JAK W DOWCIEPIE

Jesteśmy w domu. Jemy z Kazikiem obiad. Nic się nie dzieje, o czymś rozmawiamy. Wtem wpada Ludwik, nasz sąsiad. Miał pracownię na tym samym piętrze, co my mieszkanie, więc odwiedzał nas bardzo często. Tym razem jednak przyszedł okropnie zdenerwowany.

– Kazik! – krzyczy od progu do mojego męża. – Ktoś usiłował włamać się do mnie i uszkodził zamek. Nie mogę się dostać do pracowni, nie da się włożyć klucza. Chodź, może coś poradzisz?

Co się okazało. Jakiś znajomy Ludwika nie zastał go w pracowni, zostawił mu więc w dziurce od klucza karteczkę z wiadomością. Ten nie zauważył i wkładając klucz, wepchnął karteczkę głębiej, czym zablokował zamek. Ot i całe włamanie. I cały Ludwik! Nim pomyślał, już działał. Kiedyś umówił się ze swoim synem Krzysztofem, ale z jakichś powodów musiał na chwilę wyjść. Zostawił więc mu w drzwiach kartkę: „Zaraz wracam, klucze pod wycieraczką”.

Taki był Ludwik, uwielbialiśmy z mężem to jego roztrzepanie. Ileż razy dzięki niemu można było pękać ze śmiechu. Ot choćby wtedy, gdy Ewa, jego żona, wyjechała na dwa tygodnie, bodajże do Hiszpanii, a ja z moją córką Agnieszką pojechałam na ten czas do Gulczewa. I jak to zwykle, gdy się tam wybierałam, przywoziłam Ludwikowi kilkakaset pierogów, które uwielbiał. Nazywał mnie zresztą pierogowo-na-leśnikową królową. Pierogi szybko zjedliśmy i wtedy okazało się, że mimo zapewnień Ewy, nic więcej do jedzenia nie ma. Do sklepu kawał drogi. Pobliski Wyszków był w osiemdziesiątych latach znacznie dalej niż dziś – szwankowała komunikacja, wypad po zakupy dorównywał wyprawie na Marsa. Jedno czego było pod dostatkiem to jajka, mleko i zbierane przez Agnieszkę grzyby w pobliskim lasku. Jakoś więc przetrwaliśmy. Kiedy wróciła Ewa i zajrzała do dwóch nowiusieńkich lodówek ustawionych przez samego Ludwika w piwnicy, oniemiała. Obie pełne smakowitych produktów przygotowanych specjalnie na nasz pobyt, o czym gospodarz kompletnie zapomniał.

Aleśmy się uśmiali. Była jednak i taka historia, która mogła się dla Maciągów skończyć fatalnie. Trwał stan wojenny, obowiązywała godzina milicyjna. Ewa z Ludwikiem wracali późnym wieczorem do Gulczewa. Za mostem w Wyszkanie zostali zatrzymani do kontroli przez patrol zomowców. Ludwik podając dokumenty, ostrym tonem przestrzegł żołnierzy:

– Tylko żeby nie było, jak w tym dowcipie!

– W jakim dowcipie? – zapytali.

Na szczęście do rozmowy włączyła się Ewa i na oczekaniu wymyśliła jakąś bajkę, bo gdyby dała Ludwikowi mówić dalej, to zapewne tego dnia do Gulczewa by nie dojechali. A dowcip był taki: patrol zatrzymuje w stanie wojennym kierowcę, żołnierze pytają dokąd jedzie, po czym jeden z nich kładzie go trupem. Drugi zdezorientowany pyta:

– Czemu go zastrześliłeś?

– Miał jeszcze kawał do domu, przed godziną milicyjną i tak by nie zdążył.

## JAKBYŚMY TYLKO PIEROGI W DOMU JEDLI

Ludwik uwielbiał moje pierogi z mięsem albo z grzybami i kapustą oraz kruchą szarlotkę i drożdżowe rogaliki z marmoladą, które w mojej rodzinnej Bukowinie Tatrzańskiej wypiekano w każdym domu. Zajadał się nimi, popijając mlekiem. Na ogół zresztą nie sam, a z Jurkiem Borkowskim, z którym najczęściej do mnie przyjeżdżali. Przyjeżdżali bez zapowiedzi i to zawsze wtedy, gdy robiłam pierogi. Ludwik miał jakiś szósty zmysł, że wybierał na odwiedziny akurat te dni, w które przyrządzałam jego ulubione danie. Chwilami to mi nawet było głupio. Bałam się, że pomyśli, iż u mnie w domu nic tylko pierogi i pierogi.

Na odjazdne szykowałam im specjalne porcje „na wynos”. Ludwik brał zawsze jeszcze dodatkową dla pana Henia Ciacha, swojego stajennego, którego cenił i szanował, jak chyba nikogo. Mówił o nim tak ciepło i tak serdecznie, że aż się wzruszałam.

## VEGETA

Ludwik wielokrotnie podkreślał – także przy świadkach, co szczególnie mnie cieszyło – że jestem synową lubianą. Może dlatego, że dogadzałam mu kulinarnie. Smażyłam naleśniki z serem, którymi się zajadał, a na święta szykowałam domowy pasztet. Uwielbiał go chyba ponad wszystko. Sam również próbował „realizować się” gastronomicznie. Któregoś dnia zadzwonił i powiedział, że odkrył rewelacyjne kanapki:

– Smaruję sobie chleb masłem i posypuję Vegetą. Palce lizać!

Ale się uśmiełam. Człowiek zachodzi w głowę, co by tu smacznego upitrasić, a on zadowala się takim byle czym.

## SMACZNEGO

Ludwik był nadzwyczaj gościnnym gospodarzem. Ilekroć się go odwiedzało, proponował coś do jedzenia. Któregoś dnia zaprosił mnie na obiad. Gdy zagotowały się ziemniaki, zaczął je nakładać z wodą do głębokiego talerza.

– Co robisz? – zapytałem.

– Jak to co? – nalewam zupę.

– Zupę? – zdziwiłem się. – Przecież to kartofle z wodą, w której się gotowały.

– To jest bardzo smaczna i zdrowa zupa, jedz!

Podziękowałem. Tym razem Ludwik się zdziwił, machnął na mnie ręką i sam zajął się swoim przysmakiem.

Zaskakujących historii z menu w gulczewskiej chacie było więcej. Nigdy nie zapomnę, jak znalazłem się u Ludwika wczesnym przedpołudniem. Było tam akurat kilku znajomych i Ludwik postanowił przyrządzić coś dobrego. Poprosił jednego z nas – nieważne którego – by skoczył do sklepu po mielone. Kiedy mięso znalazło się w kuchni, wziął się do smażenia kotletów. Ja podziękowałem, jako że byłem po obfitym śniadaniu, pozostałym zaserwowałem apetyczne porcje i życzył smacznego. Siedziałem z nimi przy stole, rozmawialiśmy. Miny mieli jednak jakieś niewyraźne. Ruszali ustami, jakby nie mogli pogryźć, krztusili się, w końcu odstawili talerze. Co się okazało? Mięso mielonym było, jak być miało, tyle że dla psów... mielone z kośćmi! Oj, biedny ten, co je kupił.

**Agnieszka KOWALSKA**

## **KUCHENNE PORZĄDKI**

To zapewne wojna sprawiła, że Profesor, jak większość ludzi z jego pokolenia, którzy kiedykolwiek zaznali głodu, szanował jedzenie. Szanował przesadnie, choć nie wiem, czy to najlepsze określenie. Nie pozwalał absolutnie nic wyrzucać, wszystko miało być zjedzone. Jestem przekonana, że ta Maciągowa dewiza ważyła na jego zdrowiu. Jakże często skarżył się na dolegliwości żołądkowe. Ilekroć więc byłam w Gulczewie, robiłam porządki, wyrzucając ukradkiem zjełczałe masło albo nadpsutą wędlinę. Wiem, że inni goście, którzy jak ja czuli się w profesorskiej chacie bardziej zadowoleni, czynili podobnie.



## SPŁOSZONY KOŃ

To było wieki temu, na początku lat dziewięćdziesiątych. Wracając z przejażdżki konnej z okolic Stanisławowa, Maciek Falkiewicz zaproponował, byśmy przesiedli się w samochód i odwiedzili Ludwika. Zapytałem, czy to daleko? Odpowiedział: „rzut beretem”. Na miejscu, w Gulczewie, okazało się, że ten beret miał jakieś 160 kilometrów. Ale co tam: najważniejsze, że poznałem Ludwika, wtedy jeszcze dla mnie Pana Profesora. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, odniosłem wrażenie, że – jak to się mówi – nadajemy na tych samych falach. I miałem rację. Tematów mieliśmy a mieliśmy. Czas niestety gnał tego dnia chyba szybciej niż zazwyczaj. Zrobiło się późno, musieliśmy z Maćkiem wracać. Żegnając się, Ludwik poprosił mnie na moment do swojej pracowni na piętrze. Spomiędzy wielu obrazów, wyjął jeden zatytułowany „Spłoszony koń” i wręczył mi go na początek naszej znajomości. Próbowałem oponować, ale jak Maciąg coś sobie postanowił, to nie było sposobu, by go od tego odwieść.

I tak zaczęła się nasza wieloletnia przyjaźń ze „Spłoszonym koniem” w tle. Może Ludwik obdarowując mnie akurat tym obrazem przewidział, że kiedyś jakiś koń rzeczywiście mnie poniesie. Miał nosa, poniosły mnie dwie kobyły w zaprzęgu. Spadłem z bryczki, złamałem rękę, musiałem na pewien czas wziąć z jeździectwem rozbrat. I właśnie wtedy bez zapowiedzi wpadli do mnie Profesor z Jurkiem Borkowskim.

– Słuchaj – powiedział Ludwik – jedziesz z nami jutro do Anglii na wystawę malarstwa. Wystawiają, mój brat Otto, jego córka Anna i ja.

Zapierałem się, bo kto to widział podróżować z ręką w gipsie, ale w końcu dałem się namówić. To było niezapomniane przeżycie. W drodze w jedną i drugą stronę oraz tam na miejscu zdałem sobie po raz kolejny sprawę, jak jesteśmy z Ludwikiem blisko.

## BASZTA NAD NIEMNEM

Przy okazji malarskich wystaw Ludwika w Domu Polskim w Wilnie i Ejszyszkach zwiedzaliśmy Litwę. Gdzieś nad Niemnem natknęliśmy się na ślady starego grodu. Pozostały po nim już tylko ruiny baszty, ale że Ludwik był człowiekiem niezwykle ciekawym świata, uparł się, by zajrzeć do środka. Sądziłem, że bez drabiny nie damy rady, bo wejście zabetonowano i trzeba byłoby wspinać się przez otwór umiejscowiony znacznie ponad naszymi głowami. Ludwik zupełnie się tym nie przejmował. Kazał mi się nachylić, po czym wszedł po mnie, a kiedy znalazł się na wysokości owego otworu, wsunął się do środka. Zaraz potem podał mi rękę i wciągnął na górę. Wewnątrz przekonaliśmy się, że nasz wysiłek zupełnie nie był tego wart. Nic interesującego tam nie zobaczyliśmy. Ludwik stwierdził więc, że możemy wracać. Tylko jak? Wdrapać się, jakoś wdrapaliśmy, ale żeby się wydostać, musimy skakać. Strach, z tej wysokości i na takich nierównościach połamiemy nogi. Tymczasem w pobliżu żywej duszy i nie ma co liczyć, że ktoś się pojawi.

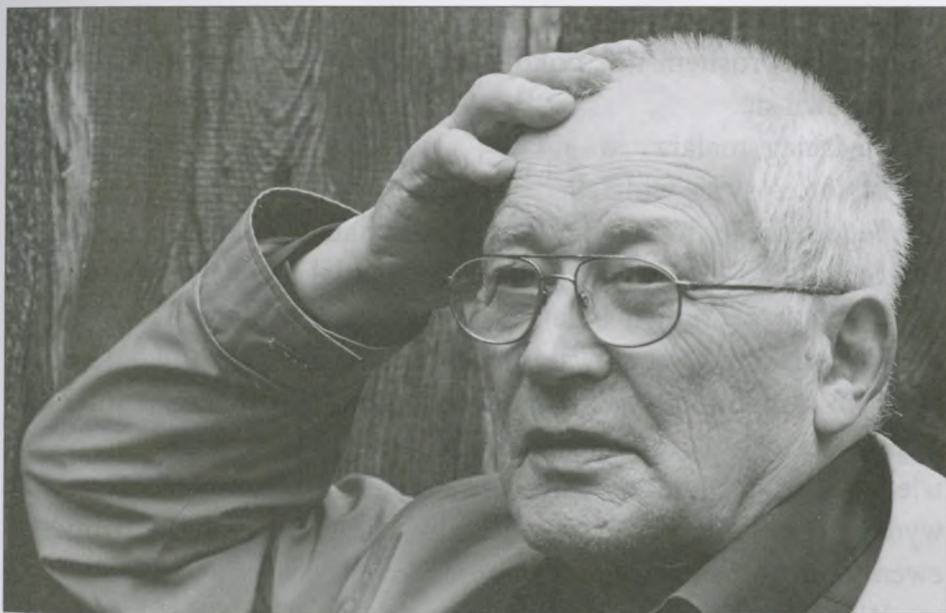
Poradziliśmy sobie tylko dzięki Ludwikowi. Twardy z niego facet, do tego piekielnie silny. Wydostał się na zewnątrz pierwszy, niczym doświadczony taternik. Wychylony po pas, trzymałem go za rękę, a kiedy znalazł się odpowiednio nisko nad ziemią, puściłem. Potem on mnie asekurował z dołu. To że udało nam się uwolnić, zakrawa na cud. Niewiele brakowało, a dokonalibyśmy tam żywota.

Emir CHALECKI

## JAKIE TO ŻYCIE MOGŁO BYĆ PIĘKNE

Ludwik przez większość życia nie pił alkoholu. I nie dlatego, że mu zabraniali lekarze. Nie pił, bo nie lubił. Zaczął dopiero w wieku siedemdziesięciu paru lat. Co prawda rzadko i w niewielkich ilościach, ale ze smakiem. Potrafił delectować się koniakiem czy dobrą wódką, powtarzając przy tym:

– Ileż ja straciłem, jakie to życie mogło być piękne.



## SĄSIEDZI ZZA PŁOTA

To prawda, że sprzecaliśmy się wielokrotnie, mieliśmy inny pogląd na wiele spraw, ale przez pół wieku, do ostatnich dni życia Ludwika, łączyła nas wielka przyjaźń. A poznaliśmy się w przedziwnych okolicznościach, w moim podwarszawskim domku w Wesołej.

Któregoś dnia – były to lata sześćdziesiąte XX wieku – ktoś niespodziewanie zastukał do drzwi. To był właśnie Ludwik ze swoją siostrą Helenką. Zapytali, czy mogą umyć ręce, bo pobrudzili się, oglądając wystawiony opodal na sprzedaż, ale jeszcze nie wykończony dom. Zaprosiłem na „pokoje”, zamieniliśmy kilka zdań. Ludwik przedstawił się:

– Maciąg, malarz.

I tyle żeśmy się widzieli.

Tego samego dnia po południu radio nadawało program z udziałem Szymona Kobylińskiego, który opowiadał o malarstwie. W pewnej chwili zaczął mówić o największym współczesnym malarzu koni, po Gierymskim, Michałowskim, Chełmońskim, o... Ludwiku Maciągu. Tym samym, który kilka godzin wcześniej mył ręce w mojej łazience. To było dla mnie coś niesamowitego. Wtedy rzecz jasna nie wiedziałem, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy, ale że artysta wydał mi się niezwykle sympatyczny, nie zamierzałem stronić od ewentualnego z nim kontaktu.

Wkrótce, jako że transakcja kupna domu doszła do skutku, Ludwik zaczął bywać w Wesołej częściej. Ale nie on – jak tak miało być na początku – zamieszkał za naszym płotem, a jego rodzice, których z Helenką ściągnęli z Białej Podlaskiej. Państwo Maciągowie sprowadzili się na dobre dopiero po zakończeniu budowy domu. Niestety nie mieli szczęścia do fachowców. Co rusz się coś psuło, a to zatykał się komin i zadymiał pokoje albo w kuchennym kaflowym piecu nie chciało się palić. Ileż to razy bawiłem się w kominiarza. Pomagałem wielokrotnie także w innych drobnych pracach, załatwiłem też butlę gazową, wówczas towar deficytowy. A kiedy po śmierci męża – ojca

Ludwika – pani Maciągowa została sama w domu, umówiliśmy się, że gdy czegoś będzie potrzebować albo źle się poczuje, postawi w oknie palącą się lampkę. To było takie SOS.

Bardzo się polubiliśmy i zaprzyjaźnili do tego stopnia, że byłem zapraszany w każdą niedzielę na rodzinną kawę. Przyjeżdżał Ludwik z Ewą i Helenką. Rozmowom nie było końca. W niedzielnych spotkaniach brała niekiedy udział siostra pani Maciągowej mieszkająca na stałe w Jugosławii. To jej zawdzięczamy znakomitą kawę mieloną w jugosłowiańskim młynku i faszerowane papryki.

Nigdy nie zapomnę tych serdecznych biesiad; nie tylko tego, że było miło i swojsko, ale że ja sam czułem się w rodzinie Maciągów niczym członek tejże rodziny. Ich w tym zasługa!

## TRADYCJONALISTA

Łączyły nas więzi rodzinne. Żona Ludwika, Ewa, to moja matka chrzestna, zarazem rodzona siostra mojego ojca. Ludwik był więc moim wujkiem. Miałam do niego słabość, imponował mi talentem, patriotyzmem, uczciwością, ceniłam jego odwagę w głoszeniu poglądów politycznych – jasne stanowisko wobec komunizmu – i to w czasach trudnych, bo przed rokiem dziewięćdziesiątym. Byłam też pełna podziwu dla jego fascynacji spartańskim życiem. Niekiedy nawet przesadnej. Kiedy budował dom, odmroził sobie uszy. Najszczęśliwszy na łonie natury, w mieście dusił się. Nie potrzebował luksusów. U nas w domu zawsze mu było za gorąco; nam u niego na wsi zawsze za zimno. Ale za to, cóż to za wieś! Jakiż klimat miała drewniana gulczewska chata ze stajenką, z której wyglądały konie, wokół biegały psy, leniwie przechadzały się koty! W tej, jakże przepięknej, śnieżnej scenerii odbywały się rodzinne Wigilie (wtedy jeszcze zimy były zimami). Uwielbiałam spędzać w Gulczewie czas, obserwując bajeczny *entourage*, w którym Ludwik czuł się najlepiej. Nigdy nie zapomnę wujowskich gawęd z okresu wojny i tych współczesnych. Lubiłam go słuchać, choć bardzo się różniliśmy. On wierny tradycji, ja feministka. Żartując z moich poglądów, powtarzał:

– Malarstwo to sztuka dla mężczyzn, to ciężka praca.

Kiedyś wspomniał, jak to w czasach, gdy był dziekanem Wydziału Malarstwa, zgłosiła się do pracy na uczelni Magdalena Abakanowicz.

– Czy ty sobie wyobrażasz, żeby kobieta pracowała na ASP? – pytał.

Byłam oburzona. Nie pojmowałam, jak można tak myśleć u progu XXI wieku, a te rozmowy wtedy prowadziliśmy. Na szczęście tradycjonalizm Ludwika nie przeszkadzał mu kochać płci pięknej; ta kochała jego. Podobał się paniom, przyciągał do siebie urokiem osobistym, wrażliwością, atrakcyjnością fizyczną. Uwielbiał malować kobiety, nadając im kształty żarówki w rozmiarze XXL. Modelki nie zawsze były tym zachwycone, ale artysta ma swoje prawa, zwłaszcza artysta tej miary.

## POCIESZYCIELKA MODELEK

Pod koniec swojego życia Profesor zaczął malować erotyki. Ciekawe, delikatne, eleganckie. Przedstawiane kobiety były zazwyczaj od góry do pasa filigranowe, za to zawsze z solidnymi pupami. Tę część ciała najwyraźniej artysta lubił przedstawiać w formie krągłych kształtów, bo i koniom, o czym wszyscy miłośnicy jego sztuki wiedzą, też malował piękne, wielkie zady.

Zdarzało się, że modelki pozowały Profesorowi w salonie pełnym gości. Pamiętam jedną z takich sesji. Kiedy dobiegła końca, podeszły do sztalugi w przekonaniu, że zobaczą się tak samo piękne, jak wyglądają w naturze. Ależ były zszokowane, gdy okazało się, że nawet na jotę nie są do siebie podobne. Na ich twarzach pojawiło się: zdumienie, oburzenie i dezaprobata dla artysty, o którym może nigdy wcześniej nie słyszały. Pocieszałam więc dziewczyny jak umiałam, wyjaśniając, że to nie fotografia a malarska wizja. Na ile udało mi się je przekonać, nie wiem.

## OBSERWACJA, WYOBRAŻNIA

Bardzo lubiłem, zwłaszcza podczas studiów, sprzeczać się z Profesorem. Były to oczywiście sprzeczki pół żartem, pół serio. Jedną z takich naszych utarczek słownych, ciągnąca się zresztą miesiącami, dotyczyła obserwacji i wyobraźni w twórczości plastycznej. Maciąg uważał za niezwykle ważną wyobraźnię, ja natomiast twierdziłem, że znacznie istotniejsza jest obserwacja. Próbowałem przekonywać go do mojej teorii na różne sposoby. W pewnym momencie, szukając kolejnego argumentu, powiedziałem, że najlepszym dowodem na to, że ja mam rację jest sam Kopernik. Wszyscy poprzestawali na wyobrażeniu, a Kopernik zaczął obserwować i odkrył, że Ziemia jest okrągła; inni do takich wniosków nie dochodzili, bo ufali swojej wyobraźni.

Do tematu wróciliśmy, a właściwie ja wróciłem podczas kapitalnego pleneru, jaki Maciąg zorganizował nam w Ciechanowcu. Wreszcie mieliśmy Profesora tylko dla siebie, był czas na dyskusje, wykłady, jakie dotąd tylko nam się śniły. Któregoś dnia zebraliśmy się z Profesorem w jednym z pokoi i ktoś, może nawet ja, zapytał jak budował kompozycję „Somosierry”. Wyjaśniał rysując, nawiązywał też do innych płócien. Wspomniał m.in. o „Biegu myśliwskim”:

– Słuchajcie, to było coś wyjątkowego. Brałem udział w Hubertusie, w pewnym momencie odwróciłem się i zerknąwszy na jeźdźców podążających za mną, zobaczyłem gotowy obraz.

– Dziękuję! – wszedłem w słowo Profesorowi.

– Za co? O czym mówisz?

– Jak to o czym? O obserwacji. Ważniejsza niż wyobraźnia.

Profesor nie dawał za wygraną, argumentując, iż dzięki wyobraźni malarz tworzy swoją wizję, pomysł na obraz. Do sporu wracaliśmy jeszcze nieraz.



## KOT JAKI JEST NIE KAŻDY WIDZI

Natura nie wyposażyła mnie w talent plastyczny, ale dała mi wujka Ludwika. Kiedy więc jako uczennica III klasy szkoły podstawowej otrzymałam zadanie domowe: narysować kota, pobiegłam do wuja z prośbą o pomoc. Na wszelki wypadek wspomniałam, że kot powinien wyglądać tak, jakbym to ja go namalowała. Ludwik posłuchał i „dziecięcą ręką” narysował przepięknego kociaka. Byłam pewna, że dostanę za niego piątkę, może nawet z plusem. Jakież więc było moje zaskoczenie, gdy pani od plastyki zwróciła się do mnie w te słowa:

– Z litości stawiam ci trzy z dwoma minusami!

I co ja biedna miałam zrobić? Nie mogłam przecież powiedzieć, że autorem kota jest jeden z najwybitniejszych współczesnych malarzy, bo po pierwsze dostałabym dwóję (wówczas nie było pałek), po drugie wyszłoby na jaw, że oszukałam, co wiązałoby się z innymi konsekwencjami, na przykład obniżeniem oceny z zachowania. Jedno, co mogłam zrobić, to iść do wujka.

– Zasłużyłeś na trzy z dwoma! – wyznałam z wyraźną pretensją w głosie i w taki sposób sprawę kota odłożyłam *ad acta*.

## PIELGRZYMKA

Ktoś mi powiedział, że w pobliskiej wsi, w Gulczewie, mieszka doświadczony koniarz. Pomyślałem, że to jego właśnie mogę popytać, jak konia karmić i jak się nim zajmować. Wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia, a przymierzałem się akurat do kupna pierwszego w moim życiu wierzchowca. Pojechałem więc do Gulczewa, stanąłem przed zamkniętą bramą i zadzwoniłem do furtki. Otworzyła przemiła pani, oznajmiła, że zaraz zawoła męża. Kiedy oddalała się w stronę domu, zacząłem szukać w pamięci, skąd ja ją mogę znać, bo to, że ją znam, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Wystarczyło, bym ujrzał gospodarza, a wszystko stało się jasne.

Facetem od koni okazał się profesor Ludwik Maciąg. Poznaliśmy się kilka lat wcześniej, w 1979 roku, zimą stulecia, gdy malarz utknął w trasie i szukał miejsca na zaparkowanie samochodu. Traf chciał, że zajechał akurat na moje podwórko. Teraz znowu przyszło nam się spotkać, tym razem jednak nie musieliśmy rozprawiać o zimnie, ale o gorących koniach, co było tematem znacznie cieplejszym.

Wspomniałem Profesorowi o zadatkowanym wierzchowcu.

– Chętnie z panem pojedę – zaferował.

I pojechaliśmy. Ledwie handlarz zaczął siodłać klacz, a Maciąg już pytał, co temu koniowi dolega, że straszliwie płacze tylne nogi.

– Co tam tylne – ripostował sprzedawca. – Patrz pan, jaki zad ma piękny.

Profesor machnął ręką i tyle było kupowania. Przekonał mnie, że strach, choćby z racji własnego bezpieczeństwa, łądować się w taką inwestycję. Zadatek przepadł, dobrze, że był symboliczny.

– Ja panu jeszcze wybiorę dobrego konia – pocieszał Profesor.

A ponieważ nie rzucił słów na wiatr, już wkrótce dosiadałem dwudziestoczteroletniej Dumki, klaczy-profesorki z przeszłością sportową, znakomitej zwłaszcza na pierwszy etap nauki. Do tego piękna, wzbudzająca podziw. Czegóż więcej trzeba! A kiedy już miałem własnego wierzchowca, zamarzyłem o konnej pielgrzymce do

Częstochowy. Minęło sporo lat nim udało mi się to marzenie ziścić... dopiero w roku 2000, ale się udało! Pojechałem do Częstochowy wraz z kilkudziesięcioma ułanami kultuwującymi tradycje 5. Pułku Ułanów Zasławskich. Wśród jeźdźców był Ludwik Maciąg.

Pielgrzymkę tę zapamiętam na zawsze także z bardzo smutnego powodu. W drodze nadeszła wiadomość o śmierci mieszkającego w Anglii Otta Maciąga, brata Profesora. Wraz z panem Ludwikiem wróciliśmy do Warszawy, odprowadziłem go na autobus do Anglii, a po pogrzebie zawiozłem z powrotem na trasę pielgrzymki. Dołączywszy do pułku, wjechaliśmy do Częstochowy, gdzie przyjmował nas ojciec dr hab. Eustachy Rakoczy, jasnogórski kapelan Żołnierzy Niepodległości – postać wybitna. To był wielki dzień. Dotrzeć konno na Jasną Górę w towarzystwie Profesora, a jednocześnie reprezentować ułańskie barwy! Na samą myśl o tym ogarnia mnie wzruszenie.

\*\*\*

**Od autora:** Moja rozmowa z Jerzym Borkowskim odbyła się w Gulczewie na tarasie profesorskiej chaty, w obecności i za namową gospodarza. Jest fragmentem dużego tekstu, jaki ukazał się w „Koniu Polskim”, który Ludwik Maciąg miał okazję przeczytać.

## PSYCHÓWKA

Ludwik był już po osiemdziesiątce, gdy zapragnął pływać łodzią wiosłową, tzw. psychówką po Bugu – rzece zdradliwej, pełnej meandrów, wirów – niezwykle niebezpiecznej. Coś o tym wiem, bo jestem pracownikiem Nadbużańskiego Parku Krajobrazowego; znam więc Bug od podszewki. O tym jednak, by odwieść Profesora od ryzykownego pomysłu nie mogło być mowy: dobrze się czuł, sił fizycznych mu nie brakowało, a chęci miał ogromne. Zamówił więc wymarzoną psychówkę, kompletował niezbędny sprzęt i palcem po mapie wytyczał trasę. Byłem przekonany, że do rejsu pozostało jeszcze trochę czasu, a tu wpada do mnie o zmierzchu zdenerwowany znajomy, który asekurował Ludwika z brzegu i mówi, a właściwie krzyczy, że stracił Profesora z oczu. Jeździł autem w jedną stronę, w drugą, wołał i żadnego odzewu. Tymczasem nie dość, że robiło się zupełnie ciemno, to jeszcze zimno, jak to wieczorem w sierpniu. Znając rzekę od razu zacząłem obstawiać, w którym miejscu Ludwik mógł się zgubić. Skręcił – pomyślałem – w boczny nurt z bardzo silnym prądem, gdzie głębokość wynosi blisko dziewięć metrów, a masa powalonych drzew blokuje wszelkie manewry, zwłaszcza w przypadku kogoś, kto nie jest doświadczonym żeglarzem. Czym prędzej więc załadowaliśmy motorówkę na przyczepę i w drogę. Po kilkudziesięciu minutach byliśmy już na wodzie. Trochę trwało nim usłyszał nasze nawoływania. Przemoczonego i zmarzniętego odholowaliśmy na brzeg. Znajomy zajął się łódką, a ja odwiozłem wystraszonego Profesora do Gulczewa. Prosił, by go nie zostawiać samego, by z nim trochę побыć i pogadać. Posiedziałem jakiś czas, napiliśmy się jego słynnej pigwówki serwowanej gościom z okazji i bez okazji. Rozgrzewając się, narzekał bardzo na znajomego, obarczając go winą za całe zdarzenie. Było w istocie dramatycznie. Ludwik zmagał się z żywiołem ileś godzin, ale sam był sobie sterem. Tak zresztą mu powiedziałem. Gdyby jednak nie ów znajomy, który przecież wezwał pomoc, Bóg jeden raczy wiedzieć, jak ta przygoda by się zakończyła. Kiedy Profesor ochłonął i uspokoił się, przyznał mi rację. Ale do psychówki już nigdy więcej nie wsiadł.

## LEKCJA MALARSKIEGO SPOJRZENIA

Zjeździliśmy z Ludwikiem Polskę wzdłuż i wszerz. I nie tylko Polskę. Kiedyś wybraliśmy się na Litwę do sanatorium w Druskiennikach. Czas po zabiegach leczniczych spędzaliśmy przeważnie w plenerze, by Ludwik mógł malować. Wybór odpowiedniego miejsca nastroczał jednak kłopotów – artysta miał wymagania. Kiedy z Izą zwracaliśmy mu uwagę: – Zobacz, jak tu pięknie – on machał ręką, dając nam do zrozumienia, że pomysł jest zupełnie nietrafiony. Pamiętam, jak któregoś dnia, gdy woziłem go po okolicy, poprosił, by zatrzymać auto w miejscu, w którym według nas nie było nic a nic ciekawego. Jego jednak COŚ urzekło. Wysiadł z samochodu i zaczął szkicować. To COŚ dostrzegliśmy dopiero na akwareli. Była to dla nas niezwykła lekcja malarskiego patrzenia na świat, widzenia tego, czego nieartysta nie widzi.

## NIE MOŻE BYĆ, NIE MOŻE BYĆ

Ludwik miał konia, Zagończyka, który z trudem dawał się dosiadać. Jeśli komuś udało się nawet na niego wdrapać, natychmiast spadał. Oddał więc Ludwik wierzchowca na nauki do naszego przyjaciela, malarza i jeźdźca, Maćka Falkiewicza. Kiedy jakiś czas później spotkaliśmy się tam wszyscy, Maciek ogłosił:

– Ludwiku, Zagończyk ujeżdżony!

Zdrętwiałam z przerażenia, bo konia miał zaprezentować Emir, mój mąż. Nie byłam pewna, czy poradzi sobie z tak niebezpiecznym zwierzęciem; nie wiedziałam zresztą, na ile koń został okiełznany. Na szczęście skończyło się *happy endem*, męża rozpierała duma, Ludwik bił brawo i powtarzał swoje ulubione:

– Nie może być! Nie może być!

A potem poklepał Emira po plecach, co było wyrazem szczególnej sympatii.

## ŻÓŁTY MATIZ

Ludwik nie lubił prowadzić samochodu. Kiedy więc wybierał się z Gulczewa do Warszawy, parkował swojego żółtego matiza w Wyszkuwie na parkingu opodal zakładu szklarskiego, *vis-à-vis* posterunku policji. Do stolicy jechał PKS-em. Któregoś razu wróciwszy z Warszawy, zorientował się, że na parkingu nie ma jego auta. Okropnie zdenerwowany wstąpił więc do szklarza, by podzielić się nie lada zmartwieniem i zapewne usłyszeć słowa pocieszenia. Zaraz potem obaj poszli na komisariat zgłosić kradzież. Po wyjściu rzemieślnik zwrócił uwagę, że na innym parkingu, obok policyjnego, stoi żółty matiz. Zagadnął więc Ludwika:

– Niech pan spojrzy, tam stoi jakiś matiz.

– No stoi, ale skąd miałby się tam wziąć mój, skoro zostawiłem auto po drugiej stronie ulicy.

– Zobaczymy, co nam szkodzi – namawiał szklarz.

I dobrze, że namówił. To był samochód Ludwika, który akurat tego dnia wyjątkowo zaparkował w innym miejscu i zupełnie o tym zapomniał. Uradowany pobiegł czym prędzej odwołać doniesienie o przestępstwie, ratując się przed odpowiedzialnością za składanie fałszywych zeznań.

Aleksandra NOVAK-ZEMPLIŃSKA

## AUTORYTET TO ON MIAŁ

Kiedy na koniec każdego roku akademickiego odbywały się wystawy prac studenckich, wszyscy podkreślali, że płótna uczniów Ludwika były najciekawsze z racji swojej różnorodności. Przede wszystkim w większości nie nosiły rozpoznawalnego piętna Maciąga. Studenci innych pracowni małpowali swoich profesorów. Tymczasem Ludwik zachęcał do indywidualnego ujmowania tematów, nigdy ich zresztą nie narzucając. Miał w ogóle inny stosunek do uczniów, przede wszystkim szanował ich, nigdy nie wyśmiewał, cenił pomysły nawet wtedy, gdy wymagały z jego strony pewnych korekt. Szkoda, że tak niewielu profesorów potrafiło nawiązywać ze studentami partnerskie relacje. Może czuli, że nie mają autorytetu. Ludwik miał.





## PATrzyŁ I MALOWAŁ

Znaliśmy się wiele lat, razem jeździliśmy na plenery malarskie. Wieczorami, przy kielichu, Ludwik otwierał się i godzinami opowiadał. Miał kompletnie odmienną postawę wobec świata niż profesorowie, których znałem, choćby z warszawskiej ASP. W jakimś sensie więc rozumiałe, że ci inni, na przykład słynni kapiści: Jan Cybis czy Artur Nacht-Samborski nie chcieli go w swoim gronie. Zadawali się z artystami o bardzo zbliżonych czy nawet identycznych poglądach na życie i sztukę. Nie byli tak szczerzy, tak prawdziwi jak Maciąg. On nie kalkulował, co w danym momencie się opłaca, a co nie. Robił, co myślał i co uważał za słuszne tak w życiu prywatnym, jak i artystycznym. Jego malarstwo nijak miało się do obowiązujących trendów, było autentyczne, żywiołowe. Takie „od siebie”, a nie „pod publiczność”. Patrzył i malował.

Twórców o podobnym podejściu było oczywiście w historii sztuki wielu, ale w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych XX wieku należeli już do rzadkości. Dziś właściwie w ogóle takich nie ma. Liczy się kasa i to na czym ją można zarobić. Maciąg doskonale zdawał sobie sprawę, że nastaje era konsumpcji i destrukcji – zjawiska groźne, bo degradujące sztukę. Zdawał sobie sprawę i głośno o tym mówił. Inni profesorowie albo nie wiedzieli, albo udawali, że nie wiedzą. Był więc postacią wyróżniającą się, ale płacił za to brakiem popularności. Jego malarstwo nigdy nie było na fali. On, ułan z krwi i kości, żołnierz zwiadu konnego w akowskim oddziale „Zenona” walczącym na Podlasiu – nie bez powodu nazywany „ułanem” grubo po wojnie – kierował się zawsze i wszędzie tym, co było mu najbliższe i najcenniejsze: p r a w d ą. Poszukiwał jej w życiu, ukazywał na płótnach. Na co dzień – wiem, że zabrzmiało to patetycznie – emanował patriotyzmem w całym tego słowa znaczeniu. To również różniło go od innych profesorów, z którymi miałem styczność.

## OD SGRAFFITO DO „ROZDROŻY”

W moim podwarszawskim domu mieszkaliśmy wtedy jeszcze stosunkowo niedługo. Nie był do końca urządzony, ściany świeciły pustkami. Któregoś dnia Ludwik zaproponował, że na jednej z nich, w pokoju, namaluje *sgraffito*. Odrzekłem, że wolałbym obraz. Ku mojemu zaskoczeniu od razu się zgodził. Ustaliliśmy szczegóły, cenę i od tego momentu wraz z Wandą, moją żoną, czekaliśmy na sygnał, kiedy będziemy mogli odebrać „maciągowe” płótno.

Na samą myśl radowaliśmy się jak dzieci, którym obiecano kolorową zabawkę. Ale obrazu jak nie było, tak nie było. Ludwik od czasu do czasu wspominał jedynie, że musi zrobić poprawki, że nie osiągnął jeszcze tego, co zamierzał. Trudno – myślałem – artysta, zwłaszcza tej klasy wie przecież co robi i do czego dąży. Traciliśmy jednak stopniowo cierpliwość. Po trzech, a może po czterech tygodniach wpadliśmy z Wandą do pracowni Ludwika, zapytać, jak postępują prace. Odpowiedź nie wniosła w nasze życie ani krzty optymizmu, ale zwróciliśmy uwagę na inny obraz (później zatytułowany przez nas „Rozdroża”). Zachwyciliśmy się nim bez reszty. Był przepiękny, znacznie też większy od zamówionego, również znacznie droższy. Nie zaczęliśmy więc nawet rozmowy na jego temat, bo w tamtym czasie na dwa płótna absolutnie nie było nas stać.

Minęły kolejne tygodnie, znów odwiedzamy Ludwika. Ten zaskakuje nas od progu:

– Nie sprzedam wam obiecanego obrazu, bo już go nie mam. Przyjechał znajomy z USA i musiałem mu coś sprezentować. Dla was za to „Bałaguła”, obraz, który tak wam się podobał. Będę go sobie oglądał przy okazji wizyt w waszym domu.

Wanda zaniemówiła, ja też nie wiedziałem, co powiedzieć. Byliśmy naprawdę szczęśliwi. Zdając sobie jednak sprawę, że ten obraz musi kosztować więcej, zapytałem, ile płacimy?

– Tyle, na ile się umówiliśmy – odrzekł i nie chciał więcej na ten temat rozmawiać.

Sięgnąłem do portfela. Do ustalonej ceny dodałem kwotę, która wydawała mi się adekwatna do wartości płótna – dostałem akurat nagrodę, miałem przy sobie więcej pieniędzy. Zapłaciłem, ale Ludwik kwoty nie przeliczył. Chwilę później byliśmy już z żoną w drodze do pociągu. Obraz z racji swoich gabarytów nieśliśmy ulicami Warszawy razem. Jak na złość gibał się na wszystkie strony, bo był naciągnięty na wyjątkowo niestabilnym blejtramie. Najważniejsze jednak, że udało nam się go dowieźć w całości. I w tym miejscu ta historia mogłaby się skończyć, miała jednak ciąg dalszy. Otóż późnym wieczorem, gdy siedzieliśmy już w domowych pieleszach, ktoś niespodziewanie zaczął dobijać się do drzwi, otwieram: to Ludwik z Ewą.

– Henryku, Henryku – mówiła Ewa z przejęciem – zostawiłeś nam za dużo pieniędzy!

Nadwyżki oczywiście nie przyjąłem, ale nie po to wracam do tego zdarzenia. Wspominam je, bo doskonale oddaje charakter Ewy i Ludwika, ich wrażliwość i uczciwość. Grzechem byłoby to przemilczeć.

## ZROZUMIESZ, KIEDY ZACZNIESZ JEŹDZIĆ

Maciąg był szalenie wymagającym pedagogiem. Znakomicie prowadził zajęcia, m.in. z rysunku. Po dziś dzień pamiętam, że trwały od godziny 16 do 20. Co dziesięć minut Profesor zmieniał ustawienie modelu. Pracy więc było sporo, ale dzięki żmudnym ćwiczeniom nabieraliśmy wprawy. Wytykał błędy, zwracając się do studenta najczęściej w ten sam sposób:

– Czemu zamiast rąk i palców rysujesz takie kikuty? – Wyrażenie „takie kikuty” było jego ulubionym.

Ludwik marzył, ażeby sprowadzić do pracowni konia – nigdy mu się to niestety nie udało, nie bardzo były po temu warunki. Zazdrościł akademii leningradzkiej – tam konia mieli. Ale że nie wyobrażał sobie nauczania rysunku bez kobyły, zorganizował nam plener w Stadzie Ogierów w Łącku. Każdemu przydzielił wierzchowca i kazał malować. Ja dostałem siwka, jednak zupełnie nie było mi z nim po drodze. Maciąg to spostrzegł i powiedział:

– Zrozumiesz w czym rzecz, jak sam zaczniesz jeździć konno.

Nie zacząłem. Niewiele za to brakowało, a zostałem jego asystentem w pracowni malarstwa. Ale że był akurat marzec 1968 roku podpadłem władzom uczelni, wyrzucając ostentacyjnie legitymację Związku Studentów Polskich. Dobrze, że w ogóle pozwolono mi zostać na uczelni. To był bardzo trudny czas, zwłaszcza dla takich ludzi, jak Ludwik. Z jednej strony nie zgadzali się z władzą, z drugiej ta władza trzymała ich w szachu...

**Młodzi artyści o sztuce Ludwika Maciąga**  
**Łukasz ZEDLEWSKI (dyplom 2013)**

\*\*\*

Największą wartością twórczości Ludwika Maciąga jest osobisty język malarski. Z każdej jego pracy, niezależnie od techniki, emanuje indywidualność artysty. Wierność samemu sobie to dla mnie wyznacznik dobrej sztuki. Zachwyty twórczością profesora Maciąga jest obecny w moim życiu odkąd ją poznałem, Profesor jest dla mnie najlepszym powojennym kontynuatorem polskiej sztuki pejzażu przełomu XIX/XX wieku.

## CIESZYŁ SIĘ JAK DZIECKO

Z Ludwikiem poznaliśmy się w latach siedemdziesiątych na dorocznym plenerze malarskim w Macedonii. Przyjechał tam w ramach wymiany międzyuczelnianej, jako dziekan Wydziału Malarstwa warszawskiej ASP. Kiedy zobaczył moje prace, zachęcił mnie do studiowania w Polsce. Poczujęm się wyróżniony. Zanim jednak przyjechałem do Warszawy, zaprosiłem go do siebie do domu, ażeby pokazać mu rozległe plantacje arbużów i papryki. Na wycieczkę po okolicy mieliśmy wybrać się konnym wozem. Konia trzeba było jednak do tego wozu zaprząć, a pech chciał, że w domu nie było mojego taty, który się na tym znał. Zaprzęganie spadło więc na mnie i wszystko mi się poplątało: jeden rzemień, drugi, lejce – jak to wszystko połączyć? Pomyślałem, że nic z naszej wycieczki nie wyjdzie, ale wtedy Ludwik, ku mojemu zaskoczeniu, odezwał się:

– Poczekaj, sam to zrobię.

Patrzyłem z niedowierzaniem, jak facet z Warszawy, do tego profesor, radzi sobie z tak – wydawało mi się – niemiejskim zajęciem. Wstydzilem się jednak zapytać, kto go tego nauczył. Dopiero, kiedy przyjechałem do Warszawy na studia i na jakiś czas zatrzymałem u niego i jego żony Ewy, znalazłem odpowiedź. Sam wystrój mieszkania: obrazy z końmi w rolach głównych i jeździeckie akcesoria świadczyły, że co jak co, ale na koniach to gospodarz zna się na pewno. On z kolei był kompletnie zaskoczony, gdy dowiedział się, że ja znam się na tkactwie. A było tak: któregoś dnia, bardzo zmartwiony, podzielił się nie lada kłopotem. Otóż za kilkanaście dni miał mieć wernisaż, na którym poza obrazami chciał pokazać dwa gobeliny wykonane wedle jego projektów. Tymczasem zatrudnione przez niego tkaczki, z dnia na dzień wycofały się z umowy i zostawiły go na lodzie. Nie wiedział, co począć. Powiedziałem, żeby się nie przejmował, że utkam mu te gobeliny, a przynajmniej spróbuję.

– Ty?

– Tak, uczyłem się tkactwa w szkole średniej, więc może jakoś sobie poradzę.

I poradziłem, a Ludwik cieszył się, jak dziecko.

## HUZAR NA KONIU

Poznaliśmy się z Profesorem jakieś dwadzieścia lat temu. Szukał kogoś, kto utka gobelin według jego projektu, a że tkaczek u nas już wtedy było jak na lekarstwo, bo to żmudna robota, problem miał nie lada. Ktoś zasugerował, by zastukał do mnie. Boże, jaką ja miałam treść, że taki gość przekroczy próg mojego domu. Kiedy jednak go zobaczyłam, a zwłaszcza jak obserwowałam przed domem, gdy witał się ze Stoperem, naszym psem, to od razu pomyślałam, że musi być dobrym człowiekiem. Z drugiej jednak strony: „dobry – niedobry”, wymagania ma pewnie ogromne, toż to przecież wielki artysta. Zastanawiałam się, czy podołam?

Przedstawił duży projekt: 220 na 160 centymetrów, powiedział na czym mu zależy i zostawił mi sporą swobodę. Byłam nawet zaskoczona, że pozwala mi na własną twórczość; w końcu to jego dzieło. Najgorsze jednak, że dał mi bardzo mało czasu, musiałam się spieszyć, bo gobelin miał być gotowy na jego najbliższą wystawę. Już nawet nie pamiętam którą.

Przez dobrych kilka dni zastanawiałam się, jak uzyskać odpowiedni efekt. Utkać konie w głębokich bruzdach nie jest proste – te bruzdy muszą być widoczne i muszą być właśnie głębokie! W końcu wpadłam na pomysł, by zastosować tzw. splot sumakowy, który pozwala na sterowanie grubością – nie będę tu zagłębiać się w szczegóły. Czy jednak trafiłam z pomysłem, miało się dopiero okazać. To przecież Maciąg decydował. Denerwowałam się, ale w sumie niepotrzebnie. Przyjechał, zaakceptował, a potem wpadał co kilka, kilkanaście dni na „kontrolę”.

Odnosiłam wrażenie, że istnieje między nami znakomite porozumienie. Najlepszy dowód, że pierwszy gobelin nie był naszym ostatnim. Celowo używam sformułowania „naszym”. Ludwik zawsze podkreślał na wszystkich wernisażach, spotkaniach, że gobelin jest efektem współpracy, a nie jego wyłącznym dziełem. Nie ukrywam, że dodawało mi to skrzydeł i miałam ogromną satysfakcję. Świadczyło też o niebywałej uczciwości artysty.

Zrobiliśmy razem cztery gobeliny, w planie był piąty: „Huzar na koniu”. Ludwik jednak z powodu choroby nie zdążył ukończyć projektu, a brakowało naprawdę niewiele. Pokazywał mi szkic na szarym papierze. Może w gulczewskiej chacie gdzieś ten szkic się zachował?



## „BRACIA ŁOPIEŃSCY”

„Bracia Łopieńscy” – tak nazwali swoją artystyczno-towarzystwą grupę studenci pierwszego powojennego rocznika Akademii Sztuk Pięknych, wśród których byli m.in.: Szymon Kobyliński, Ludwik Maciąg, Julek Pałka, Kazimierz Podlasiecki (mój mąż), Zdzisław Witwicki. Razem jeździli na plenery do Sufczyzna, na wakacje, wspólnie podejmowali się prac zarobkowych. Ażeby dostąpić zaszczytu przyjęcia do bractwa trzeba było spełnić dwa warunki: być kiedykolwiek w Kutnie oraz znać na pamięć wierszyk o księciu Józefie Poniatowskim:

*Elstero, Elstero, Elstero,  
cóżżeś uczyniła,  
żeś Księcia Józefa  
w nurtach pogrążyła!*

Wystarczyło znać jedynie ten fragment. Szymon Kobyliński w *Noniuszu*<sup>6</sup> przytacza całość:

*Księżę Józef Poniatowski  
dobrze Mochów kropił,  
tylko to nieszczęście,  
że się nam utopił.  
Elstero, Elstero, Elstero,  
cóżżeś uczyniła,  
żeś Księcia Józefa  
w nurtach pogrążyła!  
Idź, koniu, do domu,  
pan twój jest bezpieczny,  
on umarł, nie żyje  
na wiek wieków wieczny!*

<sup>6</sup> Szymon Kobyliński, *Noniusz. Wspominki z życia zewnętrznego*, Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1986, str. 66.

Członkowie bractwa sami także układali wierszyki. Pewnego wieczoru w Sufczyźnie wpadli na pomysł napisania dla siebie epitafiów nagrobnych. Dwa z nich zachowały się u mnie

**O Ludwiku:**

*Narobił koniczek  
na ten kamyczek  
pod nim Ludwiczek.*

**O moim mężu:**

*Serc pogromca – baby psuł  
Kazio zapadł się w ten dół.*

Z czasem „Bracia Łopieńscy” pożenili się a grupa rozpadła. Nie znaczy to, że jej członkowie przestali utrzymywać ze sobą kontakty. Przynajmniej niektórzy z niektórymi. Ludwik z Kazikiem przyjaźnili się do śmierci. „(...) wielki oryginalny talent malarski i – mój przyjaciel do dziś – czym się chlubię (...)”, odnotował mój mąż w swoim niepublikowanym pamiętniku.

Nurtowało mnie jednak, dlaczego bractwo się rozpadło. Kiedyś zapytałam męża. Uśmiechnął się i powiedział:

– Wiesz, myśmy się wszyscy bardzo cenili. Nie mogliśmy pojąć, czemu każdy z nas, choć taki mądry, wiąże się z taką idiotką.

## O „BRACIACH ŁOPIEŃSKICH”

(fragmenty niepublikowanego pamiętnika)

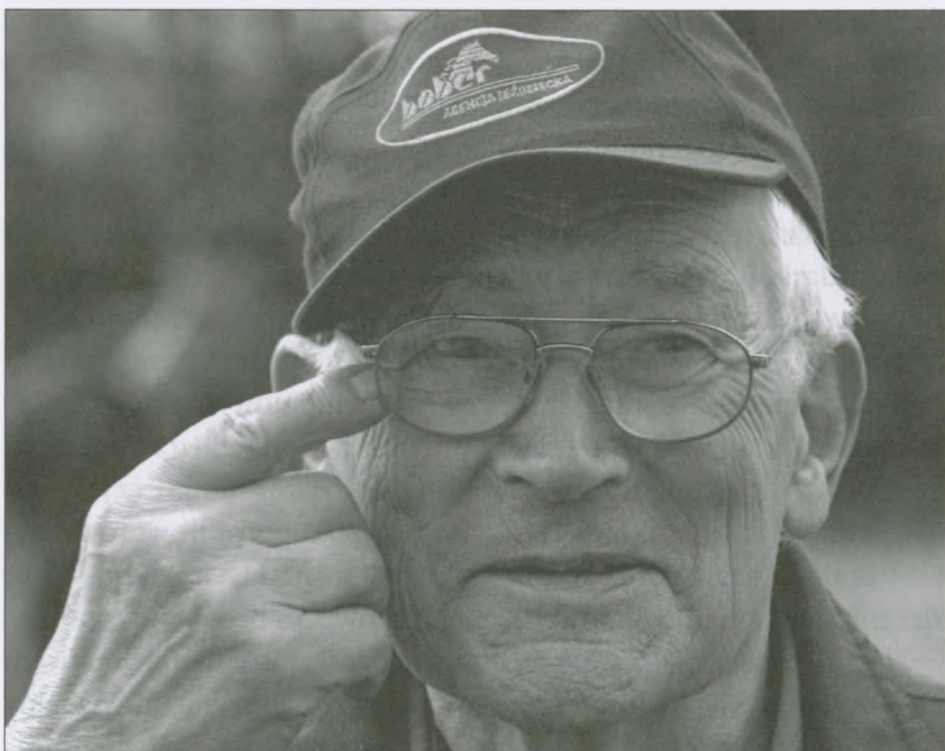
(...) głównym czynnikiem zespalałym bractwo była zabawa pod wodzą Adasia Perzyka. On też nazwał nas „Braćmi Łopieńskimi”, bo przed wojną istniała taka firma, wykonująca również odlewy dzieł sztuki z brązu. Było nas siedmiu braci, jeden przyszywany i dwie siostry. Najstarszym z wieku i talentu był Ludwik Maciąg; wszyscy z cichą zazdrością patrzyli na jego malarstwo, a szczególnie rysunek. Najgłośniejszym i powszechnie znanym i uznanym był Adaś Perzyk, wulkan śmiechu, aranżer wszelkich szampańskich szaleństw i wygłupów. Wtórowali mu dzielnie Julek Pałka na gitarze i Władzio Muszkowski na akordeonie i pianinie – tam gdzie takowe były. Władupek, jak go pieszczotliwie nazywaliśmy, był fotografem, zamieszkiwał i prowadził laboratorium fotograficzne przy Myśliwieckiej, co całemu bractwu stwarzało wygodną bazę. Następnym był Zdzich Witwicki, cichutki, skromniutki lecz o ostrym jak brzytwa języku, stąd zwany Zdzicha-pęk.

Najmłodszym lecz wszechstronnym był Szymon Kobyliński, który wdarł się do bractwa przemocą, włamując się cichą nocą do stodoły w Sufczyźnie, w której zamieszkiwaliśmy na czas remontu pomieszczenia przeprowadzanego przez nas i dla nas. Szymon wtaszczył na grzbiecie swój majdan wraz z łóżkiem polowym i powiedział, że możemy z nim robić, co chcemy, a on i tak bratem zostanie. (...) Ja w bractwie pełniłem funkcję „Siroty do Mamrotania”, czyli prób uładzenia chaosu, jaki moi bracia we wszystko potrafili wprowadzić (...) oraz od załatwiania wszelkich spraw formalnych, jak gadki ze zleceńodawcami, po kupowanie materiałów i aranżowanie robót.

(...) Przez cały nasz okres studiów byliśmy słynnym bractwem na Akademii (...). Jednocześnie stanowiliśmy naprawdę uniwersalny zespół, dla którego nie było roboty nie do wykonania. Ludwik potrafił namalować wszystkie zwierzęta świata. Szymon był encyklopedią wszelkich szczegółów (...), Julek (...) liternictwo miał w małym pal-

cu. Zdziś był mistrzem w dobieraniu kolorów oraz szczytem precyzji wykonania. Adaś pomagał we wszystkim, Włodek (...) doskonale odtwarzał naturę, a ja (...) organizowałem kolejność robót, wykonywałem wszelkie konstrukcje i usilnie trenowałem liternictwo.

(...) W roku 1949 rozpoczął się ogólny rozpad – rak stalinizmu rozkładał zdrowe jeszcze dotąd tkanki społeczeństwa. (...) W „Bractwie Łopieńskich” nastąpiły wielkie zmiany. Władka zamknęto, Ludwik jako pierwszy z braci ożenił się. Ewa, panna znajoma mu jeszcze jako panienka z okienka z jego ułańskich, wojennych czasów, studiowała zaocznie, pracując jednocześnie w administracji ASP. Zamieszkali na Pradze w jakimś potwornym mieszkanku bez elementarnych wygod wraz z matką i babką Ewy. Ludwik przyłączał się do nas na niektóre roboty, ale wrywkowo, bo nigdy nie miał czasu – z czego on wtedy żył, nie mam pojęcia.(...)



## DONOS

Na pierwszym roku studiów poznałem nie tylko Profesora, także jego żonę Ewę, która pracowała w Akademii, pełniąc funkcję szefowej sekretariatu uczelni. W jej ręce trafił donos na mnie i kilku moich kolegów, z którymi dzieliłem pokój w słynnym warszawskim Domu Studenta „Dziekanka”. Ktoś naskarżył, że rozrabiamy po nocach, że w brudnych butach wylegujemy się na czystej pościeli, a salcesonem chcieliśmy zabić dyrektora akademika. Okazało się, że aferę wywołało celowo, by zmniejszyć liczbę studentów pierwszego roku, bo jak zwykle przyjęto zbyt wielu. Wyrok zapadł nim szanowna komisja dyscyplinarna zaczęła obradować. Żona Ludwika została obarczona przykrym obowiązkiem poinformowania nas o „wyroku”. Zdenerwowałem się na samą myśl, jak przyjmą informację o wyrzuceniu mnie z Akademii moi rodzice, bądź co bądź ludzie prości. Będzie to dla nich ogromny cios. Na szczęście grupa kilku znanych artystów, m.in. rzeźbiarka, ceramik Teresa Plata-Nowińska oraz ulubieniec Ludwika, grafik Stanisław Wieczorek, zorientowali się, że afera szyta jest grubymi nićmi i tak naprawdę chodzi o to, by usunąć z listy przypadkowe nazwiska, robiąc miejsce mniej zdolnym, a z jakichś powodów uprzywilejowanym. Wystąpili więc w naszej obronie do rektora. Ten zmienił decyzję, przywracając nas w prawach studentów.

## MACIĄGÓW W CHINACH DWÓCH

Jest lipiec roku 1954. Z oficjalną wizytą w Polsce przebywa Zhou Enlai, pierwszy premier Chińskiej Republiki Ludowej. Wraz z przedstawicielami naszego rządu na czele z premierem Józefem Cyrankiewiczem zwiedza wystawę malarstwa polskiego w Zachęcie. Jego uwagę przykuwa obraz Ludwika przedstawiający Chińczyków przyglądających się koniom na wybiegu. Chiński premier zachwycony płótnem, zostaje nim obdarowany. Mija mniej więcej pół wieku. Ambasador Chin, w związku z jego odwołaniem ze stanowiska, składa kurtuazyjną wizytę mojej ówczesnej szefowej, Barbarze Blidzie, minister Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa. Jak to w zwyczaju, strony wymieniają się upominkami. Miałem zaszczyt wręczać pałatkę naszemu gościowi, a była nią akwarela Ludwika.

– Panie ambasadorze – zwróciłem się do gościa – to jest praca naszego wybitnego malarza, Ludwika Maciąga. Jedno jego dzieło jest już w Chinach, pan ma drugie.

## CHIŃCZYKÓW JAK NA LEKARSTWO

Profesor bronił pracy dyplomowej na ASP w roku 1951, a więc w czasie, gdy tematy owych prac studenci musieli wybierać z listy opracowanej i zatwierdzonej przez władze uczelni. Jakże to były tematy – nietrudno się domyślić. Maciągowi trafił się propagujący miłość PRL do Chińskiej Republiki Ludowej. I choć profesor na samą myśl, że musi coś takiego tworzyć, dostawał gęziej skórki, to jednak, jeśli chciał skończyć studia, musiał się podjąć tego zadania. Namalował wizytę Chińczyków w jednym ze stad ogierów. Na pierwszym planie szalały dwa roztańczone konie, w tle widoczne były stajnie i inne zabudowania, tylko Chińczyków w tym wszystkim jak na lekarstwo. Gdzieś w głębi, ledwie zauważalne, jawiły się ich mikroskopijne żółte twarze. Znakomity to obraz, a Profesor obronił się nim nie tylko jako student, ale także jako artysta z najwyższej półki. Niestety, nigdy nie widziałem oryginału, który trafił do Chin, ale przy okazji moich wizyt w Gulczewie, Maciąg pokazywał mi równie rewelacyjny szkic obrazu. Oglądałem go wiele razy i zawsze, co zabrzmi może nieco patetycznie, rozpierała mnie duma, że autorem był nie kto inny, a mój nauczyciel.

## BIMBER PRIMA SORT

Z okazji wernisażu swojej wystawy w Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Łazienkach, Ludwik, bohater i gospodarz wieczoru, postanowił poczęstować gości lampką smacznego trunku. Radził się mnie, jaki alkohol kupić, myślał o winie. Ja uważałem, że skoro większość gości stanowią koniarze, to trzeba poczęstować ich najprawdziwszym bimbrem. Ludwikowi pomysł się spodobał. Załatwiłem na wsi dwadzieścia litrów alkoholu domowej roboty i przytargałem je w dwóch bańkach, niestety takich, z których nie dało się nalewać bezpośrednio do kieliszków. Musieliśmy więc skompletować czterdzieści butelek po winach, wódkach, koniakach, a potem własnymi siłami je napełniać. Po wernisażu, gdy muzeum opustoszało, Ludwik był ciekaw, czy gościom nasz alkohol zasmakował. Najłatwiej było to zweryfikować na zapleczu sali wystawowej licząc puste butelki. Doliczyliśmy się trzydziestu dziewięciu. A więc smakował!



## ŚWIADEK JEHOWY

Niewielu miłośników i znawców sztuki Ludwika Maciąga wiedziało, że w ostatnich latach życia, gdy zajął się twórczością erotyczną (malarstwem i rzeźbą), wydał album poświęcony tej tematyce. Album arcyciekawy, ale nieosiągalny na rynku księgarskim, bo wydrukowany w mikroskopijnym nakładzie. To był taki prezent dla przyjaciół, bliskich znajomych, niektórych członków rodziny. Poczulałam się wyróżniona, zarazem dumna, że i ja tę unikatową publikację otrzymałam. Moje szczęście jednak nie trwało długo. Pojawiła się bowiem w moim domu pewna kobieta, Świadek Jehowy, która postanowiła uwolnić mnie od diabelskich treści, od zła emanującego z kart albumu i ów album wyniosła. Tej straty nigdy nie odżałuję.

## KOMIKS

Kończyłem studia, musiał to więc być rok 1987. W dawnej Fabryce Norblina odbywał się wernisaż wystawy profesorów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wśród autorów był Ludwik Maciąg, który zaprezentował polptyk składający się z pięciu scen oddzielonych od siebie czarnymi pasami. Główna, zarazem największa, przedstawiała prowadzonych przez Niemców aresztowanych żołnierzy radzieckich. Maciąg był podminowany, bo nie wiedział, jak władza ludowa taki obraz przyjmie. Na pozostałych częściach polptyku znalazły się: uciekająca Żydówka, zakrwawiony partyzant, Niemiec oglądający fotografię swoich bliskich na moment przed egzekucją i fragment celi więziennej z urywającym się, wydrapanym w ścianie napisem: „Jeszcze Polska nie zginie...”

– Co o tym sądzisz? – zapytał mnie Profesor.

– Każda ze scen znakomita, Maciąg najwyższej próby, ale wszystko razem, jak strona z komiksu. Trochę to więc nie licuje z wielkością Ludwika Maciąga – palnąłem, nie zastanawiając się nad doborem słów, choć rzeczywiście powiedziałem to, co naprawdę myślałem.

Profesor zzieleniał ze złości, a ja czym prędzej ulotniłem się ze świadomością, że chyba nie mam już czego szukać na Akademii, acz w głębi duszy łudziłem się, że może mi wybaczy. Przez kilka najbliższych dni nie przychodziłem na zajęcia, bo musiałem zapewnić opiekę moim dzieciom. Kiedy w końcu dotarłem na uczelnię, dowiedziałem się od kolegi z roku, Artura Lewandowskiego, że Maciąg mnie poszukiwał. Adrenalina natychmiast poszła w górę, a gdy Janusz zaczął jeszcze relacjonować ze szczegółami, co się działo, to myślałem, że serce wyskoczy mi z gardła.

– Słuchaj – wpadł jak burza do pracowni i od progu wrzeszczał: gdzie jest Wieniek, gdzie jest Wieniek?

Janusz celowo opowiadał wszystko w taki sposób, by mi się nogi uginały ze strachu. Uspokoilem się dopiero z końcem relacji, nie mogąc zresztą uwierzyć w to, co usłyszałem: kiedy bowiem Profesor

skonstatował, że nie ma mnie na uczelni, wykrzyczał w obecności studentów:

– Nikt mi tego nie powiedział, a Wieniek miał odwagę! Przekazcie mu, że za szczerość dam mu któryś z moich obrazów.

Wkrótce Maciąg podzielił płótno na pięć osobnych obrazów. „Sowieckich jeńców” pokazywał na rozmaitych wystawach, znaleźli się też w jednym z jego albumów. Co stało się z pozostałymi obrazami, nie mam pojęcia.

Kilka dni później Profesor zaprosił mnie do pracowni na Bracką, ażebym wybrał sobie jedno z jego płócien. Nie zastanawiałem się ani chwili, wskazując od razu dobrze mi znany obraz z wystawy w Starej Kordegardzie w Łazienkach, przedstawiający karetkę pogotowia brnącą nocą po zaspach. „Karetka” zauroczyła mnie niesamowitym nastrojem, kolorem, szarością śniegu... Ależ się cieszyłem, że mam ten obraz, zwłaszcza że tak niewiele brakowało, by nigdy w moje ręce nie trafił. W tym miejscu powinienem podziękować komunistycznej propagandzie. „Karetkę” kupił bowiem od Maciąga jego znajomy, niejaki dr Krajewski, lekarz i kolekcjoner w jednym. Obraz zamierzał ofiarować, jeśli dobrze pamiętam, Muzeum Historii Medycyny Akademii Medycznej. Muzeum na moje szczęście prezentu nie przyjęło, argumentując odmowę w następujący sposób:

– Panie doktorze, polska służba zdrowia w takie warunki to przylatuje helikopterem, a nie wysyła karetkę.

Doktor zwrócił więc obraz autorowi, a ja na tym skorzystałem.

## LUSTERKO PRAWDĘ POWIE

Podczas pleneru artystycznego w Korfowym „Koń jaki jest...”, byłam świadkiem korekty obrazu, jaką sugerował Ludwik jednemu z artystów. Spojrzawszy na namalowane przez niego końskie nogi rzekł:

– Nauczę cię psucia! To jest bardzo ważne. Jak widzę, że coś mi nie gra, to odważam się celowo psuć! Dopiero etap naprawiania staje się tym dobrym rysunkiem, prawdziwym malarstwem. Czasem co prawda zdarzy się, że machniesz pędzlem za pierwszym razem i wyjdzie tak, jak powinno, ale to tylko czasem. W tym miejscu więc moja rada: najlepiej weryfikować to, co namalowałeś „metodą lusterka”.

Profesor wyjął z kieszeni małe okrągłe zwierciadło, podał je malarzowi i poinstruował:

– Ustaw lusterko w taki sposób, byś widział w nim obraz i mógł zanalizować wszystkie szczegóły. Jeśli któryś detal jest według ciebie „wadliwy”, nie pasuje do całości, poprawiaj go dotąd, aż efekt końcowy będzie zadowalający.

## ODWIEDZINY

Ludwik miał w zwyczaju odwiedzać studentów w ich domowych pracowniach. Pamiętam jak kiedyś przyjechał do mnie ze swoją żoną, Ewą, by zobaczyć mój najnowszy obraz. Sporych rozmiarów płótno przedstawiające czwórkę zaprzęgniętych koni widocznych od strony kozła wisiało już na ścianie. Ludwik wszedł do pokoju, spojrzął i zaskoczony zaniemówił. Po dobrej chwili zwrócił się do mojej żony:

– Skąd ty go wytrzasnęłaś? – zażartował i zaraz dodał: – Ten obraz trzeba koniecznie pokazać na wystawie na zakończenie roku akademickiego.

Był to z jego strony niewątpliwy akt odwagi, bo jak wspominałem, Akademia sugerowała zupełnie inny rodzaj sztuki. Dzięki Ludwikowi miałem także zielone światło na przygotowanie serii „końskich” obrazów w ramach pracy dyplomowej. Otrzymałem za nią wyróżnienie.

## **TYLKO TETKA BYŁA ŻYWA**

Matka Ludwika, Rozalia Dokić, pochodziła z Jugosławii. Była Chorwatką. Któregoś lata przyjechała do Polski jej siostra. Zwiedzając Warszawę, zaszła na Bracką zobaczyć pracownię siostrzeńca. A że na Brackiej prawie wszystkie spotkania z gośćmi Maciągów odbywały się w naszej kuchni – i ona została tam przez nas przyjęta.

Ciotka zwana Tetką przywiozła w prezencie zieloną kawę. Pierwszy raz taką widziałam. W zielonej postaci nie nadaje się jednak do picia. Najpierw trzeba ją opalić na patelni. Z zachwytem przyglądaliśmy się, jak czernieje na naszych oczach. Kiedy była już zdatna do użycia, Tetka zaparzyła ją w tureckich tygielkach. Tak pysznej kawy nie piłam nigdy wcześniej, ani nigdy później. W smaku nie wydawała się mocna. W pewnym momencie jednak serca zaczęły nam walić, jakby zaraz miały pęknąć. Myśleliśmy, że umieramy. Tylko jedna Tetka była żywa.

## **BYĆ U CIEBIE PSEM ALBO KOTEM**

Nie wydaje mi się, by Profesor nie lubił dzieci. Na pewno był dla nich wyjątkowo surowy. Wiem to choćby po reakcjach mojego syna, Przemka, który nie cierpiał naszych wyjazdów do Gulczewa. Ludwik kazał mu siedzieć nieruchomo. Na nic mu nie pozwalał. Chłopak co chwilę był strofowany: zostaw, połóż, nie rusz, zepsujesz, spadnie... Ale co ciekawe, gdy do pokoju wchodził pies czy kot, to nawet jak napaskudził, nie dostawał od gospodarza bury. Ktoś kiedyś zwrócił się do Profesora w te słowa:

– Oj, Ludwiku, w następnym wcieleniu to chciałbym być u ciebie psem albo kotem.

## RZEŹBIARKA W OPAŁACH

Nasza dobra znajoma, Anna Dębska<sup>7</sup>, wybudowała w ogrodzie małejki basen. Niby nic takiego, ale pomyślała, że warto z tej okazji wznieść toast i zaprosić gości. Zaprosiła m.in. Ludwika i mnie. Uznaliśmy, że na taką fetę wypada przywdziać stroje stosowne do okoliczności. O umówionej godzinie zjawiliśmy się więc u bram rzeźbiarki z nagimi torsami i w pływackich czepkach na głowach. Gospodyni, gdy usłyszała dzwonek, czym prędzej skierowała się w naszą stronę. Szła żwawym, energicznym krokiem, nie widząc jednak z daleka, kto zacz. Wtem, jakieś piętnaście metrów od furtki wyraźnie zwolniła, by po chwili zatrzymać się. Nie poznała nas. Naciągnięte czepki zmieniły oblicza, zmarszczyły skórę twarzy, do tego Ludwik był bez okularów. Z lękiem w głosie zapytała:

– A panowie do kogo?

Milczeliśmy, jak grób. Ania z każdą chwilą czuła się więc coraz bardziej niepewnie. Później przyznała, że była przekonana, iż to zamaskowani bandyci przyszli ją napaść. Ta zabawna dla nas sytuacja, bo przecież nie dla niej, trwałaby zapewne jeszcze długo, gdybyśmy nie parsknęli śmiechem.

---

<sup>7</sup> Anna Dębska (1929–2014) polska rzeźbiarka, hodowczyni koni.



## RAJD DO JEZIOR

Profesor zaproponował mi kilkudziesięciokilometrowy konny wypad do Jezior<sup>8</sup>, niewielkiej wsi na Podlasiu, w której podczas wojny walczył z Niemcami. Nie był to jednak rajd klasycznie przygotowywany. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie będziemy się zatrzymywać na posiłki, gdzie będziemy nocować. Ot, osiedliśmy konie i w drogę. Jadąc przez lasy, chaszcze, łąki, zahaczaliśmy o stareńkie, opuszczone gospodarstwa. Miałam wrażenie, że przeniosłam się w inny czas, w inną rzeczywistość, że dotykam tego, czego już nie ma. Trudno to nawet wyrazić słowem.

Ale dzięki Profesorowi przeżyłam coś niesamowitego. Pamiętam, że w drodze powrotnej zabłądziliśmy. Nie mając ani mapy, ani kompasu pozostało nam rzucić wodze i pozwolić koniom iść tak, jak im podpowiadała intuicja. A ta – jak to u koni – nigdy nie zawodzi, choć stępowały szlakiem, na który nigdy wcześniej nie wstępowały.

---

<sup>8</sup> W Jeziorach na Podlasiu znajduje się kamień upamiętniający walkę żołnierzy 34. Pułku Piechoty Armii Krajowej, którymi dowodził „Zenon” – mjr Stefan Wyrzykowski. Rokrocznie odbywa się tam Rajd Konny Szlakiem Oddziału Partyzanckiego „Zenona”.

## CZY LUDWIK ZWARIOWAŁ?

Odbieram telefon od znajomej z Białej Podlaskiej. Zaskakuje mnie już pierwszym zdaniem:

– Czy Ludwik zwariował? Sprzedał „Hubala” na wódkę. Całe miasto jest oburzone.

– „Hubala” na wódkę? – powtarzam i nic nie rozumiem.

– Ze swojego obrazu pozwolił zrobić etykietę na wódkę „Hubal”! To skandal, hańba!

– Nic nie wiem – wyjaśniam. – Wódki nie piję, a Ludwik nic mi o tym nie wspominał. Jak się czegoś dowiem, oddzwonię.

Nazajutrz spotykam Ludwika. Boję się powiedzieć mu o telefonie wprost, jestem zresztą święcie przekonana, że on o całej sprawie nie ma pojęcia. I rzeczywiście. Jak się dowiedział, o mało nie trafił go szlag. Pojechał do Białej wyjaśniać. Tam pokazali mu butelkę „Hubal Vodka” z jego obrazem w postaci etykiety. Na odwrocie napis:

„Na cześć pierwszego polskiego partyzanta „Hubala” mjr. Dobrzańskiego. Obraz przedstawia patrol AK-BCh. W środku twórca obrazu prof. L. Maciąg, wówczas partyzant”.

Nawet opis nieprawdziwy! Ludwik nigdy w tym oddziale nie walczył, a major Henryk Dobrzański nie zdążył być ani w AK, ani w BCh.

Ludwik dostał furii. Okazało się, że ktoś, kto był w posiadaniu płótna, przehandlował je bez wiedzy autora producentowi wódki. Maciąg zażądał zaprzestania produkcji oraz odszkodowania. Nie pamiętam, jak się ta sprawa skończyła. Wiem za to, że przez swoje roztrągnięcie nigdy nie wszedł w posiadanie feralnych butelek, choć kilka pustych otrzymał od przyjaciół z Białej na pożegnanie w ramach przeprosin za niesłuszne oskarżenie. Kiedy jednak już był w drodze do domu, usłyszał, że coś mu się telepie w bagażniku. Zatrzymał auto, sprawdził co, stwierdził, że coś, co znajduje się w obcej torbie. Nie zajrzał nawet do środka, tylko wyrzucił ją do przydrożnego śmietnika. Potem żałował, jak nigdy!

## WIENIEK KONIE MALUJE

Wielokrotnie pytałem Profesora, jak się maluje konie. Nie jak on maluje, tylko jak ja mam malować. Odpowiedzi otrzymywałem zdawkowe, ani trochę pomocne, raczej wprowadzające w moim warsztacie zamęt. Nazwę rzecz po imieniu: zwyczajnie mnie to wkurzało. Powiedziałem więc sobie, że nie odpuszczę, że znajdę sposób, by Maciąg poświęcił mi tyle czasu, ile potrzebuję dla mojego „końskiego” rozwoju. I znalazłem! Któregoś dnia przyniosłem mój szkicownik pełen koni. Profesor, jak nigdy wcześniej, usiadł ze mną na kilka godzin i analizował rysunek po rysunku, mało tego, sam na boku szkicował, wskazując moje błędy. Tłumaczył na przykład, jak na płaskim pokazać przestrzeń w dwóch wymiarach. Dzięki indywidualnej lekcji pojąłem, ile treści było w tych, jak mi się wcześniej wydawało, zdawkowych wyjaśnieniach. Zacząłem rozumieć coraz więcej i coraz więcej koni malować. Cieszyłem się, gdy mnie chwalił, ale też, gdy miał uwagi, bo wtedy najwięcej korzystałem. Żartowałem czasem:

– W tym miejscu mógłbyś poprawić, ale zostaw, przecież i tak się nikt na tym nie zna.

Sam był wierny najwyższej jakości warsztatowi. Uczył tego innych. Mnie na przykład wysyłał do kliniki weterynaryjnej na Grochowie, bym poznawał końską anatomię.

Oczywiście, że moje konie ustępowały i ustępują Maciągowym, ale musiały być na tyle dobre, że za sprawą Profesora zacząłem uczestniczyć w plenerach malarskich organizowanych przez Joannę Grootings w Korfowym. To był zaszczyt, że mogę stanąć sztaluga w sztalugę z moim Mistrzem. Ale nigdy nie zapomnę, jak mnie kiedyś zezłościł. Podczas malowania otoczyła mnie spora grupa gapiów (gości Joanny), podszedł tam też Profesor. Chwilę postął, po czym zabawiając się sytuacją, zaczął mnie besztać:

– To jest noga, taka noga, no nie, jak tak można!

I co z tego, że to był żart? Zrobiło mi się przykro i głupio wobec ludzi, którzy stali wokół, choć udawałem, że wszystko jest w porząd-

ku. Żal minął dopiero po jakimś roku, gdy nasz wspólny znajomy, prof. Stanisław Baj, zapytał, czy wiem, co Maciąg mówi o moich koniach?

Kiedy odrzekłem, że nie mam pojęcia, przytoczył słowa Profesora:  
– Wieniek konie maluje, a inni je rysują, nawet jeśli używają do tego farb.

Ależ mnie to połechtало!

## DARMOWE KONIE, BRYCZKA I SANIE

Ojciec stronił od alkoholu. Było to zresztą powodem wielu żartów, jakie robili sobie z niego koledzy z wojska. – Ani baby, ani kielicha – śmiali się. Stronił też od towarzystwa. Lubił samotność. Tymczasem, kiedy pracował na uczelni i mieszkał blisko Warszawy, w Wesołej, a potem w Woli Grzybowskiej, nieustannie nawiedzali go znajomi z ASP i pili z nim, choć bez niego. Liczył, że to się zmieni, gdy osiadzie na jakiejś wsi spokojnej, wsi wesołej z dala od stolicy. Osiadł w Gulczewie, ale z tą samotnością chyba mu nie wyszło. Ciągłe ktoś go odwiedzał, tym bardziej, że miał tam przecież aż trzy „darmowe” konie, bryczkę, sanie...

Gdyby moje relacje z ojcem wyglądały inaczej, mógłbym ingerować w to, z kim się zadawał i przyjaźnił. Nieprawdopodobnie łatwowierny, otaczał się często ludźmi, którzy chcieli go wykorzystywać. On tego nie widział, darzył ich bezgranicznym zaufaniem. Potem dziwił się, że ten czy ów zachował się nie tak, jak powinien. Nie, nazwiskami sypać nie będę... może kiedyś, ale to już w mojej książce.

## WYSTAWA ZE SZPIEGAMI W TLE

Od lat jestem wykładowcą Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Kiedy tenże wydział odziedziczył budynek Akademii Spraw Wewnętrznych, pomyślałam, że to znakomite miejsce na zorganizowanie rodzinnej wystawy Maciągów. I rzeczywiście taka się odbyła. Tłum gości podziwiał obrazy Ludwika, jego brata Otta oraz Anny, córki tegoż drugiego. Po nadzwyczaj udanym wernisażu zagadnęłam wuja, czy wie, co to za miejsce, w którym zaprezentowali z bratem i bratanicą swoje obrazy. Nie miał pojęcia. Wyjaśniłam więc, że w tych murach kształcono jego przeciwników politycznych, m.in. komunistycznych szpiegów.

– Nie może być! – zareagował zdziwiony, zarazem oburzony, że zaproponowałam tak ideologicznie obcą mu przestrzeń.

– Znak czasu – powiedziałam.

– No tak – pokiwał głową.

## WYNOCHA MI STĄD

Jedziemy z Profesorem do stajni w Kostomłotach. Ja prowadzę. Rozmawiamy o tym i owym. Ludwik mówi, że od dawna nosi się z zamiarem namalowania aktu kobiecego *a la* Rubens, ale jak na złość nie może znaleźć odpowiedniej modelki. Pocieszam go, że prędzej czy później jakąś znajdzie, nie mam zresztą żadnego pomysłu, by mu cokolwiek podpowiedzieć. Zmieniamy więc temat. Jedziemy dalej. We wsi Piszczac, mijamy sklep o nazwie „Sekenhand”, Ludwik prosi, bym się zatrzymał, bo chciałby sobie kupić jakieś koszulki. Wybiera, ogląda, płaci. Wychodzimy, Ludwik pyta mnie:

– Zwróciłeś uwagę na tę ekspedientkę, ona byłaby idealną modelką?  
– Rzeczywiście – skinąłem głową. – Wiesz – mówię – wejdę i zapytam, może się zgodzi.

Ludwik próbował mnie powstrzymać, ale postawiłem na swoim. W sklepie nikogo poza nią nie było, mogłem więc swobodnie i najuprzejmiej jak potrafiłem zagadnąć:

– Proszę pani, czy wie pani, co to jest akt?  
– Akt? Jaki akt? Akt to w teatrze.  
– Owszem w teatrze też – uśmiechnąłem się – ale ja mam na myśli inny. Wie pani, ten pan, który robił tu przed chwilą zakupy, to wybitny malarz. On bardzo by chciał namalować panią nago.  
– No wie pan! – zareagowała oburzonym tonem.

Cóż jednak znaczył ów ton wobec zagrożenia, jakie czyhało na mnie za parawanem. Otóż siedział tam cicho jak mysz mąż ekspedientki, o którego istnieniu nie miałem pojęcia. Jak wyskoczył do mnie nie przebieając w słowach, jak usłyszałem pod moim adresem:

– Wynocha stąd i sp...aj.

Zwinąłem się w ułamku sekundy. Wskoczyłem do samochodu i ruszając z piskiem opon wyjaśniałem Ludwikowi, czemu jestem taki zdenerwowany.

– A mówiłem, żebyś dał spokój – skomentował moją opowieść, zaśmiewając się przy tym do rozpuku.

## **A WRZUCIŁEŚ LUDWIKU LIST DO SKRZYNKI?**

To musiały być lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku. Ludwik wybierał się do Londynu, do swojego brata Otta, poprosiłam więc, by skontaktował się też z moim, z Bronkiem. Nie miałam pojęcia, czy do spotkania doszło, jak przebiegło. Ludwik zdał relację dopiero po powrocie.

– Wiesz, kiedy wspomniałem o twojej prośbie – opowiadał Ludwik – Otto poradził mi, by najpierw wysłać list Bronkowi z propozycją terminu spotkania, bo w Anglii nie odwiedza się nikogo bez wcześniejszej zapowiedzi. Tak też zrobiliśmy. I choć odpowiedź nie nadeszła, w anonsowanym terminie zgłosiliśmy się pod wskazany przez ciebie adres. Otworzyła żona Bronka, ale kiedy dowiedziała się kim jesteśmy, zagroziła nam wejście do mieszkania. Zza jej pleców wychylił się kompletnie zaskoczony Bronek i zaprosił nas, ale tylko do przedpokoju. Tam zasugerował byśmy pojechali do Klubu Polskiego, gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać. Tak też uczyniliśmy.

– I wyobraź sobie, wchodzimy do tegoż Klubu, gdzie obecni są sami Polacy w wieku mocno zaawansowanym. Dla większości z nich czas zatrzymał się na II wojnie. Zwracają się do siebie: „Panie kapitanie”, „Panie pułkowniku”, do szatniarza mówią „Panie generale”. Pośrodku przestronnej sali spostrzegamy kilkunastu dziadków zgromadzonych wokół młodego, czarnoskórego mężczyzny. Pytamy Bronka kto to jest? Ten zasięga języka i wyjaśnia, że to polityczny uchodźca z Polski. Zrobiłem wielkie oczy. Okazało się, że ów czarnoskóry młodzieniec jeszcze do niedawna studiował w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale w związku z jakąś awanturą o podłożu rasistowskim, obraził się i udał do Londynu. Robi tam za bohatera.

Ludwik opowiadając to sięgnął po coś do kieszeni marynarki, może po chusteczkę – nie wiem, w każdym razie razem z tym czymś wypadł mu list, który za namową Otta napisał do Bronka. Zapomniał go wysłać! Cały Ludwik! Nic dziwnego, że mój brat był zaskoczony jego wizytą, a bratowa taka niemiła.



## PROFESORSKIE RADY

Gdy Ludwik witał się albo żegnał, to tak mocno ścisnął, że trudno było złapać dech. Ja to nawet kiedyś myślałam, że kręgosłup mi trzaśnie. Oczywiście Profesor nie chciał przecież zadawać bólu, wręcz przeciwnie; chciał dać z siebie pewien specyficzny rodzaj ciepła. Jego dobroć przejawiała się zresztą w przeróżnych postaciach. Oddałby wszystko, co miał, byle komuś sprawić radość. Dzielił się nie tylko dobrami materialnymi, także wiedzą i doświadczeniem, czego zazwyczaj artyści unikają. Ludwik tymczasem doradzał mi przy byle okazji. Kiedyś zastał mnie w trakcie pracy na projektem gobelinu, popatrzył i rzekł najserdeczniej jak potrafił:

– Jakbyś niebo namalowała ciemniejsze, to woda błyszczałaby mocniej. Byłoby lepiej.

Spróbowałam. Rzeczywiście! Takich lekcji dał mi mnóstwo.

Przekonałam się też, jaki był wrażliwy, choć na zewnątrz w towarzystwie znajomych i nieznajomych starał się to ukrywać. Pamiętam, jak pojechaliśmy do Gulczewa, gdy Ewa, jego żona była już bardzo chora. Praktycznie bez kontaktu. Siedziała w fotelu, mięła jakąś chusteczkę i niemo patrzyła przed siebie. Podszedł do niej i nie zdając sobie sprawy, że wszystko, co mówi, słychać w drugim pokoju, przemawiał tak czule, że poleciały mi łzy. Taki był Ludwik.

## LUDWIK, JA I KUKURYDZA

Tamtego dnia było w Gulczewie sporo osób. Siedzieliśmy przy stole, piliśmy herbatę, wtem ktoś powiedział coś, czym zirytował Profesora. Ludwik zwrócił się wtedy do mnie:

– Pojedźmy nad Bug.

Nie przewidział tylko, że kiedy wsiądziemy do samochodu, inni zrobią to samo. I tak spod domu ruszyło siedem, może osiem aut. W pewnym momencie, gdy udało mi się na tyle daleko odjechać, że zniknęliśmy innym z oczu, Profesor krzyknął:

– Skręć w prawo.

Skręciłam w wąską dróżkę prowadzącą na pole kukurydzy. Nikt nie zauważył. Ludwik radował się ucieczką jak dziecko, a ja cieszyłam się, że możemy w tej kukurydzy spokojnie pogadać. Od tamtej pory każde kukurydziane pole przypomina mi tę historię.

## WSPÓLNE DZIECKO

Kiedy z racji niżu demograficznego liczba uczniów wiejskich szkół zaczęła gwałtownie spadać, wpadłem na pomysł, jak zagospodarować przynajmniej jedną z opustoszałych placówek oświatowych na naszym, łochowskim terenie. Wymyśliłem, by w jej murach utworzyć liceum wojskowe. O koncepcji wspomniałem Ludwikowi. Nie tylko mu się spodobała, ale zaangażował się w organizację szkoły, zaproponował, by obrała profil kawaleryjski. Od tej pory działaliśmy razem, odbywając, jeśli nie setki, to na pewno dziesiątki spotkań. Liceum Ogólnokształcące im. Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Urlach powstało, ale niestety tylko z klasami o profilu policyjnym i ogólnowojskowym. Koni do liceum nie udało się ściągnąć, ale cieszę się, że placówkę utworzono i to w dużej mierze dzięki nam dwóm. To nasze wspólne dziecko, wspólna pamiątka. A na konie przyjdzie może jeszcze lepszy czas.

## KOŃ ŚWIĘTOŚCIĄ

Kochał zwierzęta. Wielu twierdzi, że przesadnie. Moim zdaniem był wobec nich mało stanowczy. Pół biedy, jeśli chodziło o psa czy kota, ale rozpieszczał również konie. Pamiętam, jak bezskutecznie próbował nakłonić jednego ze swoich arabów do galopu na lonży. W pewnym momencie poprosił, bym go na parę minut zastąpił, a sam gdzieś się oddalił. Kiedy wrócił, koń chodził dokładnie takim tempem, jakie narzuciłem.

– O jak pięknie idzie, jak ci się to udało? – zapytał zdziwiony.

A ja tylko wszedłem na padok zdecydowanym krokiem i dałem do zrozumienia koniowi, że w tym tandemie ja rządzę. Profesor był czasami na takie stanowcze zachowania zbyt miękki. Ostro i zdecydowanie oceniał za to koniarzy, którzy traktowali swoje wierzchowce jak narzędzia do zaspokajania własnych fanaberii. Odwracał się od takich ludzi. Pamiętam, jak zakończył znajomość z pewnym księdzem, który zmusił swojego wierzchowca do nadkońskiego wysiłku. Zwierzę nie przeżyło. Koń był dla Ludwika świętością i często to podkreślał; szczególny tego wyraz dawał malując obrazy.

**Młodzi artyści o sztuce Ludwika Maciąga**  
**Katarzyna MICHALIK (dyplom 2015)**

\*\*\*

Kontakt z profesorem Ludwikiem Maciągiem miałam pośredni. Z jednej strony dzięki znajomości dwóch jego uczniów; najpierw Wieńczysława Pyrzanowskiego, później profesora Stanisława Baja; z drugiej – za sprawą twórczości samego artysty i jego wypowiedzi zachowanych w piśmie oraz na filmach. W ten sposób dostałam od Profesora bardzo wiele, ale przede wszystkim nauczyłam się, jak ważne jest bycie sobą, nieudawanie niczego. Wydaje się to oczywiste, ale dopiero niedawno naprawdę to zrozumiałam.

Po pierwszym zachłyśnięciu się twórczością Profesora, zobaczyłam w nim nagle doktrynera, terrorystę i zarozumialca. Może taki bunt jest w pewnym momencie potrzebny. A może zazdrościłam mu tej zdrowej pewności siebie wynikającej z przekonania o słuszności swojej postawy. Tak czy inaczej budził moją podejrzliwość. Potem moja opinia złagodniała, ale nadal trzymałam się na dystans, bo widziałam u siebie skłonność do „maciągowania”, więc unikałam kontaktu z jego malarstwem. Gdy zostałam poproszona o ten krótki tekst, wróciłam do rozmowy z Profesorem, która ukazała się w największym albumie z jego twórczością. I wtedy zobaczyłam człowieka prawego, świadomie idącego pod prąd, nie po to, żeby coś komuś udowodnić, tylko dlatego, że tak akurat wiodło go jego artystyczne sumienie. Nie chciał ani nie potrafił inaczej, bo nie widział sensu udawania kogoś, kim nie był. I w tym nie ma zarozumialstwa, jest właśnie pokora wobec swojej „biedy”, wobec tego, kim się jest. Jest w tym po prostu autentyczność.

Moje malarstwo i cała moja twórczość są Profesorowi i bliskie, i dalekie. Bliskie przez pokrewną tematykę, przynajmniej częściowo, przez fascynację naturą. Dość dalekie wizualnie, zwłaszcza ostatnio. Mimo tego oddalenia staram się być wierna temu, co dostałam od Profesora: staram się szukać mojej prawdy w sobie, nie oglądać się na innych, nie wstydzę się tego, jaka jestem, puszczając kpiny mimo

uszu, ale słuchać głosów mądrej krytyki, a jeśli chodzi o sam proces tworzenia – nigdy nie przestawać myśleć, a przy tym pozostawiać miejsce na intuicję. Balansować między luzem a kontrolą, co dość mocno przypomina taniec na linie.

Nie wiem, czy nie najważniejsze jest jednak to, że profesor Maciąg był jednym z tych, którzy mnie przekonali, że warto być sobie wiernym, bo tak naprawdę ma się tylko siebie. Nikomu nie potrzeba epigonów, a to, co każdy ma w sobie, jest niepowtarzalne. Trzeba do tego dojść, oczyścić i oszlifować – lub nie, ale na pewno warto spróbować to określić.

**Maria PODLASIECKA**

## **KRAKOWSKI KAFEL**

Spędzałam z córką wakacje w Krakowie. W tym czasie byli tam również Ludwik z żoną Ewą i swoim bratem Ottem, który przyjechał z Anglii. Wybraliśmy się na wspólny spacer. Na jednej z uliczek robotnicy remontujący dawną kamienicę, wyrzucali na śmietnik przepiękne stare kafle ceramiczne. Trudno było oprzeć się ich urokowi. Oczywiście urokowi kafli – nie robotników. Wzięliśmy więc po jednym na pamiątkę. Z czasem, kiedy Ludwik budował dom w Gulczewie, swoim kaflem ozdobił piec w salonie. W ten sposób kawałek starożytnego Krakowa znalazł się w nadbużańskiej chacie Profesora, notabene projektowanej przez niego samego.

## MACIĄG NA CENZUROWANYM

Kiedy Ludwik nastał w Gulczewie, urządził dla dziennikarzy piknik; miałem przyjemność uczestniczyć w tej jakże sympatycznej imprezie, a pamiętam ją doskonale m.in. dlatego, że zakończyła się najprawdziwszym obyczajowym skandalem. Otóż wśród gości zjawily się znane postaci z telewizji państwowej – innej zresztą wówczas nie było. Jedna z pań redaktorek, nawiązując do światowej mody, pojawiła się na spotkaniu bez biustonosza. Ten „przejaw nowoczesnej elegancji” pani Ewa – żona profesora – była w stanie zaakceptować, a przynajmniej przemilczeć. Kiedy jednak zawiął wiatr i podwinął owej pani redaktorce sukienkę, okazało się, że jak Szwedki, nie nosi też majtek. Ale wtedy pani Ewa już nie wytrzymała i wystrzeliła potężnym nabojem:

– Kur... tu wstęp wzbroniony!

Redaktorka, czego łatwo się domyślić, w jednej chwili opuściła spotkanie. Niestety, a jestem o tym święcie przekonany, że tak było, cała ta historia miała swoje przykre następstwa. Od tamtej pory przez całe lata TVP blokowała wszelkie materiały filmowe o Ludwiku i informacje o jego wernisażach.



## ROZRZUCENI PO ŚWIECIE

Ojciec wywodził się z rodziny chłopskiej, podczas gdy jego żona, a moja matka, Ewa Zbyszyńska, z ziemiańskiej. Była wszechstronnie kształcona, jak to w tamtym czasie dziewczyna z dobrego domu. Ludwik miał dwóch braci i siostrę. Każde z rodzeństwa rodziło się gdzie indziej. Najmłodsza Helena w Międzyrzeczu Podlaskim, Ludwik w Krakowie, Otto w Budapeszcie, a Józef w Bukareszcie. Otto mieszkał w Anglii, Józef zginął podczas wojny w Jugosławii, był cichocierem, został pośmiertnie odznaczony *Virtuti Militari*. Ojciec prawie nigdy o nim nie opowiadał. Tymczasem był to wybitnie uzdolniony artysta. Co prawda ukończył podchorążówkę, a nie Akademię Sztuk Pięknych, ale doskonale malował, grał na fortepianie, komponował, śpiewał i, w przeciwieństwie do mojego ojca, świetnie znał języki. Był też, podobnie jak Otto, lepszym od Ludwika malarzem. Więcej dowiedziałem się o Józefie już po śmierci ojca. W Gulczewie, w domu, w którym teraz ja mieszkam, natknąłem się na jego znakomite rysunki. Przypadkiem też znalazłem zdjęcie jego żony, pięknej kobiety, o istnieniu której nie miałem pojęcia. Fotografia znajdowała się w ramce... pod zdjęciem Józefa.

## ŻOŁNIERSKI SALUT

Pracowałam z Profesorem w Europejskiej Akademii Sztuk, zaprzyjaźniliśmy się. Był dla mnie człowiekiem niezwykłym, człowiekiem sztuki przez duże „S”. Od początku do końca pięknym, mimo upływu lat tryskającym młodością, emanującym dobrocią i światłem, które innym dodawało optymizmu.

Gdy myślę o Ludwiku Maciągu, wracają do mnie dwa wspomnienia. Pierwsze związane z życiem w pełnym tego słowa znaczeniu:

Grupą profesorów uczelni artystycznych z terenu całej Polski byliśmy na Ukrainie. Przez miesiąc przemierzyliśmy sześć tysięcy kilometrów, wiele na własnych nogach. Bywało, że nie mieliśmy już sił. Tymczasem Profesor – starszy od wielu z nas – dopingował i zachęcał, maszerując dziarsko z notatnikiem w ręku. Przystawał na chwilę, by coś naszkicować i dalej w drogę. Z nieukrywanym wzruszeniem i sentymentem stąpał po ziemi bogatej w polską historię.

Drugie wspomnienie związane jest ze śmiercią... Było mi dane towarzyszyć Profesorowi niemal do końca jego dni. Odchodził z pełną świadomością. Nazajutrz po spowiedzi wyznał mi, że jest gotowy na spotkanie z Bogiem. Zasalutował na pożegnanie, jak na ułana przystało. Zachował godność i szlachetność. Odszedł jak żył i jak tworzył: w prawdzie i dla prawdy.

## MIAŁ RACJĘ

Przy okazji pleneru w Gogolewie Profesor zorganizował nam „zajęcia pozalekcyjne”: wycieczkę do stadniny w Pępowie. Tam czekała nas nie byle jaka atrakcja: przejażdżka na lonży pod okiem przedwojennego trenera, Jana Dąbrowskiego, także malarza, o którym mawiano, że pamięci do ludzkich twarzy nie ma za grosz, ale imiona koni pamięta wszystkie. Maciąg wyrażał się o nim w samych superlatywach, mówił, że dziś takich ludzi prawie nie ma: honorowy, uczciwy, nie znoszący chamstwa i braku kultury. A ja właśnie tym brakiem niechcący się wykazałem. Oto bowiem, gdy trener przyprowadził osiodłanego konia i zapytał: kto pierwszy? – zaraz się zgłosiłem. Przejechałem kilka kótek, zsiadłem, trener zapytał wtedy: kto następny? Zaległa dość długa cisza. Kiedy spostrzegłem, że nie ma chętnych, wskoczyłem na konia powtórnie. Ale to, co wówczas się stało, kompletnie mnie zaskoczyło. Profesor, którego znałem dotąd, jako wrażliwego i opanowanego człowieka, zwyczajnie się na mnie wydarł:

– Złaź, ale to już! Jak tak można! – rzucił krótko po kawaleryjsku.

Ostra reprimenda bardzo mnie zabolęła, ale Maciąg miał rację. Było nas tam kilka osób i nie powinienem tak bez pardonowo się zachować. I choć sytuacja nie należała do przyjemnych, ucieszyłem się, że Profesor potrafi zareagować, że z niego wcale nie takie ciepłe klu chy, jak co poniektórzy myśleli.

## U MNIE ZIMNO?

Ludwik był zahartowany, nigdy nie marzył, do późnej jesieni kąpał się w Bugu i nie dogrzewał domu. Goście, w tym my, często odczuwali chłód, chodzili w swetrach, a on w samej koszuli. Pamiętam, jak któregoś razu powiedziałam:

– Zimno u ciebie.

A on zaczął się śmiać i zacierając ręce odrzekł:

– U mnie zimno? Pojedziecie do Maćka Falkiewicza, dopiero zobaczycie, co to znaczy zimno.

Akurat wybieraliśmy się z mężem do Macieja po obraz Ludwika, według którego miałam tkąć gobelin. Kiedy tam zawitaliśmy, powiało ostrym chłodem. I nawet nie można było dorzucić do ognia, bo wlot pieca zasłaniały płótna i sztalugi. Miał rację Profesor. Jego zimno było niczym wobec Falkiewiczowskiego.

## GDYBYM MIAŁ TAKĄ ŻONĘ

Przy okazji któregoś z pobytów w Korfowym Ludwik narzekał, że ma kłopot ze znalezieniem modelki do swoich erotyków. Zapytałam znajomą, czy nie chciałaby pozować Profesorowi. Zgodziła się, ale na ośmielenie poprosiła setkę wódki. Było to dla niej wielkie przeżycie. Przez cały więc czas, pewnie dla zatuszowania tremy, zabawiała artystę, męcząc go różnymi opowieściami i nie pozwalając mu się skupić. Po sesji Ludwik skomentował:

– Gdybym miał taką żonę, to bym sobie w łeb strzelił.

## PODEJRZANY

Pracowania przy Brackiej to kawałek warszawskiej historii. Najpierw miał z owego lokalu korzystać Szymon Kobyliński, ale że nie odpowiadał mu skromny metraż, zrezygnował. Wtedy, w 1958 roku, wprowadził się tam ze swoimi sztalugami Profesor. Gdy pozwolił mi z pracowni korzystać w połowie lat dziewięćdziesiątych, miała miejsce zabawna historia, choć kiedy się wydarzyła, wcale do śmiechu mi nie było. Oto bowiem ktoś życzliwy doniósł na mnie, że okradam Maciąga i wynoszę mu z pracowni jakieś paczki. Zostałem wezwany na policję, o czym nie omieszkałem Profesorowi powiedzieć. Ten tak się zdenerwował, że postanowił mi towarzyszyć. Zrobił śledczym karczemną awanturę, a mnie oczyszczono z zarzutów.

Z pracowni korzystam po dziś dzień, wynająłem ją od wojska, które jest administratorem budynku. Myślałem nawet, by urządzić tam niewielkie muzeum Profesora, ale obecnie jest to kompletnie niemożliwe z racji logistycznych. Nie ma gdzie parkować, a wejście do pracowni wymaga forsowania kilku bram i furtek. Szkoda...

## MACEDOŃSKIE KROWY

Nigdy nie zapomnę naszego spaceru po macedońskich górach tuż przed zachodem słońca. W pewnym momencie Profesor spostrzegł stado krów schodzących do doliny. Obrazek iście impresjonistyczny. Natychmiast zrobił szkic. Był pod tak silnym wrażeniem tego, co zobaczył, że już następnego dnia wziął się do malowania. Kiedy ujrzałam na płótnie to, co widziałam w rzeczywistości, oniemiałam: oboje widzieliśmy coś zupełnie innego. Uzmysłowił mi, jak patrzeć na zwierzęta, by widzieć ich piękno, ruch, kształt, a nie tylko anonimowy organizm.

## URODZINOWY HUBERTUS

W 2005 roku na cześć Ludwika zorganizowałem w Kostomłotach Bieg Myśliwski. Okazja była nie lada, bo Profesor skończył akurat osiemdziesiąt pięć lat. Mimo zanego wieku wciąż znakomicie trzymał się w siodle. Nie jest jednak tajemnicą, że lisa złapać niełatwo, zwłaszcza jeśli ten równie dobrze wierzchem sobie radzi. Dogadałem się więc z owym lisem, czyli Maciejem Falkiewiczem, ażeby tak się ustawiał, by Ludwikowi udało się zdobyć kitę bez specjalnego wysiłku. Kłopot miałem jedynie z dwoma dziesięciolatkami – synami miejscowego koniarza, Mariana Grygłasa – którzy już wtedy znakomicie jeździli i o mały włos nie sprzątnęli Ludwikowi lisa sprzed nosa. Ten jednak zorientował się, że Hubertus jest pod niego reżyserowany i starał się galopować z dala od uciekającego, umożliwiając rywalizację innym. Maciek tymczasem podstawiał się, jak tylko mógł; Ludwik nie reagował. W końcu, widząc co się dzieje, Falkiewicz podjechał do Profesora, zerwał kitę ze swojego ramienia i wręczył jubilatowi w ramach urodzinowego prezentu. Tak to nasz ukartowany plan został zrealizowany.



## **GÓRA Z GÓRĄ SIĘ NIE ZEJDZIE, ALE MACIĄG Z JARUZELSKIM...**

Ludwik wiedział, że mam częste kontakty z Wojciechem Jaruzelskim; byłem jednym z jego wydawców, realizowałem o nim filmy. Któregoś dnia, już pod koniec swojego życia, Profesor wspomniał, że choć nie przepada za generałem z racji wielu jego grzechów, chciałby go poznać. Zorganizowałem spotkanie, nawet w nim uczestniczyłem.

Panowie rozprawiali o Polsce, i choć Profesor miał skrajnie odmienne poglądy, to po spotkaniu stwierdził, że generał w ocenie ówczesnej sytuacji politycznej ma sporo racji.

Na pożegnanie wymienili się podarunkami: Jaruzelski wręczył swojemu gościowi książkę z dedykacją, Ludwik zrewanżował się akwarelą z motywem końskim. Generał też przecież był jeźdźcem, i jak Ludwik, ułanem.

## ZAPOMNIANA FOTOGRAFIA

W maju 2007 roku, na jednej z ostatnich wystaw mojego wuja „Ludwik Maciąg Erotycznie”, która miała miejsce w Korfowem, bawiłam się w fotoreportera. Fotografowałam wszystko, co według mnie fotografowania było warte. Wśród zdjęć znalazło się i takie, na którym Ludwik – wówczas już bardzo chory – klęczy przed zaprzyjaźnioną z nim Joanną Grootings, właścicielką korfowej galerii. Na kolanach dziękuje za gościnę, organizację wystawy, za gorące przyjęcie. Obiecałam sobie, że fotografię tę podaruję Joasi, ale jak to bywa, wpadłam w wir zajęć zawodowych i zapomniałam. Zdjęcie gdzieś upchnęłam, gdyby mnie ktoś spytał gdzie, nie potrafiłabym powiedzieć.

Kilka miesięcy później, w sierpniu, gdy zbierałam się do wyjścia na pogrzeb Ludwika, sięgnęłam bezwiednie na półkę po jakąś powieść nie mającą nic wspólnego ani z Ludwikiem, ani ze sztuką, ani z moją pracą zawodową. Po co, dlaczego? – nie wiem, po prostu po nią sięgnęłam. Kiedy trzymałam ją w ręku, spomiędzy stronic wypadło zapomniane zdjęcie. To był znak od wuja, bym tę fotografię wzięła ze sobą i dała Joannie. Tak zrobiłam.

Relację jaka istniała między Joasią a Ludwikiem trudno opisać. Byli w wielkiej przyjaźni. Po śmierci Ewy stała się dla mojego wuja osobą szczególnie ważną, jego muzą i podporą w trudnych chwilach.

## H2SO4

Pilnym uczniem to mój ojciec nie był. W szkole przykładał się do rysunków i tylko do rysunków. Miał więc w wykształceniu ewidentne braki. Pomyśleć, że właśnie niedostatkom w edukacji zawdzięcza życie. Była wojna, wraz z innym ułanem oddziału „Zenona” wpadli w ręce Sowieców. Obydwu zaprowadzono przed oblicze „śledczego”. Ten, odziany w skórę, siedział rozparty przy stole i zjadał ogórki maczane w marmoladzie. Z pełną gębą wykrzykiwał, że zaraz ich rozstrzela. I tak by się zapewne stało, gdyby nie owa niewiedza. W pewnym momencie Rosjanin zwrócił się do ojca z zaskakującym pytaniem:

– Ty, Polaczek, a szto eto H2SO4?

– Nie wiem? – odparł kompletnie zdziwiony.

– No co ty, okulary nosisz i nie wiesz?

– No nie wiem – wyznał z taką szczerością, że nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, iż mówi prawdę i tylko prawdę.

– To ty głupi! – podsumował, zanosząc się od śmiechu i zawołał współtowarzysza:

– Ej Wania! Polak durak, on nieznajet szto eto H2SO4!

I wtedy już obaj śmiali się do rozpuku. Rozbawieni, wypuścili zatrzymanych, konfiskując im jedynie broń. Czasem warto zbyt wiele nie wiedzieć.





Kiedy członkowie Koła Łowieckiego „Dzik” w Brańszczyku wpadli na pomysł, by przy Szlaku Napoleońskim, na wysokości leśniczówki w Tuchlinie, postawić kapliczkę św. Huberta, łowczy Mirosław Jechna poprosił o pomoc Ludwika Maciąga. Profesor naszkicował wówczas węglem na dębowym balu rysunek konia i jeźdźca, wedle którego łowczy wyrzeźbił owe postaci. Przydrożną kapliczkę warto zobaczyć, choć odnaleźć ją w gąszczy drzew łatwo nie jest.

## DWA KROKI OD SIEBIE

Po bardzo długiej nieobecności, coś mnie tknęło, żeby odwiedzić Profesora. Zatelefonowałam. Ktoś, kto odebrał, rozmawiał ze mną obsesowo i niechętnie. Nie miałam pojęcia dlaczego, ale nie ustępowałam, domagając się kontaktu z gospodarzem. Udało się. Profesor był rad, że mnie usłyszał i że zaawizowałam swój przyjazd. Ale dopiero w Gulczewie dowiedziałam się, że umiera. Szok, nie miałam w ogóle pojęcia, że choruje. To intuicja podpowiedziała mi: zadzwoń, pojedź, ale dlaczego podpowiedziała mi akurat wtedy, a nie na przykład tydzień później? Bo tydzień później Profesora bym już nie zastała. Zobaczyliśmy się dosłownie na kilka dni przed jego śmiercią. Był do końca świadomy, że za dzień, dwa, może nawet za moment nie będzie go już pośród żywych. Pamiętam, że osłabiony przysypiał chwilami, a kiedy się budził nie bardzo wiedział gdzie jest. Za którymś razem wydało mu się, że jest już po drugiej stronie. Gdy drzemał, oddawałam się przeróżnym wspomnieniom. Mam takie jedno, które wraca do mnie po dziś dzień, choć jak na ironię pochodzi z czasu, kiedy o istnieniu Ludwika Maciąga nie miałam pojęcia. Była zima stulecia roku 1979. Profesor miał jechać do Gulczewa, do swojej żony Ewy; niestety ugrzązł w zaspach w centrum Warszawy przy Rotundzie i podróż musiał odłożyć. Opowiadał mi, jak się martwił, czy żona sama sobie poradzi. Bardzo ją kochał. Byłam wtedy dwa kroki od niego. On przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi, ja zaledwie parę ulic dalej, przy Karowej. W szpitalu położniczym przychodziłam na świat.

## A TO JA ŚPIEWAŁAM

To były pierwsze tygodnie mieszkania na Brackiej. Spędzałam wówczas całe dnie z moją trzyletnią Agnieszką, starając się jakoś urozmaicać nasz czas. Akurat tamtego dnia śpiewaliśmy legionowe piosenki. Głośne „O mój rozmarynie rozwijaj się...” przerwał dźwięk dzwonka. Któż by inny? Oczywiście Ludwik, który wpadał do nas nawet kilka razy dziennie, gdy tylko był w pracowni – ta mieściła się *vis-à-vis* naszego mieszkania.

– Słuchaj, czy do naszej kamienicy sprowadzili się Cyganie albo Żydzi? Tak zawodzą, że nie mogą się skupić na malowaniu! – zapytał poirytowany.

– Nie mam pojęcia – odparłam ze zdziwieniem.

Podeszliśmy do otwartego okna. Z zewnątrz dochodziły jedynie odgłosy ulicy. Ludwik poszedł więc do siebie, ale gdy tylko wznowiliśmy nasze śpiewy, natychmiast wrócił.

– O, słyszysz? – spytał.

– Nie!...

I dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że to wszystko moja wina. Ryknęliśmy śmiechem.

## NIE BYŁ MALARZEM KONI

Mój pierwszy kontakt z twórczością Maciąga datuje się na lata, kiedy byłem małym chłopcem i czytałem książki z jego ilustracjami, m.in. „Żołnierzy Kościuszki” Weroniki Tropaczyńskiej-Ogarkowej. Postrzegałem wojsko tak, jak on je rysował. Z czasem zacząłem poznawać twórczość Ludwika wykraczającą znacznie poza ramy książkowych stronic. Jego doskonałe pejzaże sprawiły, że dziś patrzę na otaczającą mnie naturę właśnie przez pryzmat tychże pejzaży. W okolicy, w której mieszkam i po której jeżdżę konno, znajduję znane mi z obrazów Ludwika: „Drogi Maciąga”, „Lasy Maciąga”, „Sosny Maciąga”, choć przecież wcale ich na „moim” terenie nie tworzył... Ale te lasy, sosny, drogi zdefiniował niepowtarzalną i jakże osobistą syntezą malarską. Był mistrzem tejże syntezy. Irytuje mnie więc, gdy odbiorcy sztuki Maciąga szufladkują go jako malarza koni. On nigdy nim nie był i myślę, że nawet być nie chciał. Owszem, podejmował tematy z koniem w roli głównej albo drugoplanowej, ale to zupełnie coś innego. Pewnie dlatego w środowisku jeździeckim jego twórczość częstokroć nie była i nie jest najlepiej odbierana, bo nie wystarczy mocno siedzieć w siodle, by rozumieć, co autor miał na myśli. Ludwik Maciąg malował bowiem w rzeczy samej obrazy a nie konie – dla niego ważna była kompozycja, kolor, swoista synteza formy, indywidualna interpretacja postrzeganych zjawisk, nieraz widzianych i przeżywanych z wysokości siodła, lecz swoiście przełożonych na język malarski.



## ROZMOWY VIA TELEFON

Ludwik wiedział, że wcześniej wstaję, często więc dzwonił do mnie już o szóstej rano. Prosił, żebym przeczytała mu któryś z moich wierszy albo np. złościł się, że od półtorej godziny słucha polskiego radia, w którym nie nadano jeszcze żadnej polskiej piosenki. Z równowagi wyprowadzali go też politycy wygłaszający w eterze swoje przedziwne i oburzające poglądy. Ale żeby nie było, iż tylko narzekał: radiowe chwile radości również miał. Cieszył się na przykład, że dożył czasów, w których zaczęto mówić o Żołnierzach Wyklętych... wprawdzie o piątej czterdzieści rano, ale to już coś!

Tematy naszych rozmów telefonicznych były przeróżne i odbywały się nie tylko bladym świtem. Kiedyś zadzwonił pod wieczór i mówił tak cicho, że prawie nic nie słyszałam. Zapytałam, czy nie może głośniej?

Okazało się, że telefonował po kryjomu ze stajni, gdzie skrył się przed jakąś kobietą, która bez zaproszenia wprowadziła mu się niespodziewanie do domu. Nie wiedział, co ma z nią począć. Prosił, żebym przyjechała, pomogła ją wyeksmitować, ale jakby to wyglądało, gdybym dotarła późną nocą i pomagała wypraszać jakąś panią. Na szczęście sam sobie poradził. Prawdę mówiąc to i tak cud, że tylko jedna kobieta odważyła się na podobny krok, bo kochały się w nim wszystkie.

Pamiętam też mój wieczorny telefon: opowiadał, że cały dzień spędził przy sztaludze, zapytałam wtedy, czy przynajmniej zjadł kolację.

– Tak, tak, jadłem – odrzekł najwyraźniej podekscytowany, aż się tą ekscytacją zdziwiłam.

– Wyobraź sobie, że dokonałem kulinarnego odkrycia: mając zupę pieczarkową w proszku i makaron – wyjaśniał najzupełniej serio – można mieć aż dwie potrawy. Dolewając mniej wrzątku ma się makaron w sosie; dolewając więcej, ma się makaron w zupie.

Pomyśleć, ile to można się dowiedzieć przez telefon: od piosenki, przez politykę, zakochaną kobietę, po tajemnice profesorskiej kuchni.

## „ZENON” W TV

Kiedy ukazała się moja książka *Historie przedmiotami pisane*, której jednym z bohaterów jest Ludwik Maciąg, zostałem zaproszony na rozmowę do telewizyjnej „Kawy czy herbaty”. Opowiadałem m.in. o partyzanckim oddziale „Zenona”, podkreślając, że władze komunistyczne byłyby najszcześniejsze, gdyby ta akowska formacja nigdy nie powstała. Wspomniałem też o samym Stefanie Wyrzykowskim „Zenonie”, skazanym na karę śmierci (wyrok zamieniono na wieloletnie więzienie). Mówiłem również o niebezpieczeństwie, jakie groziło Profesorowi zaraz po wojnie, kiedy musiał ukrywać się przed służbami bezpieczeństwa, podejmując pracę w charakterze masztalera i leśniczego w Stadninie Koni w Janowie Podlaskim.

W godzinę, może dwie po programie, zadzwonił Profesor:

– Piotrze – nie może być, nie może być: telefonują do mnie znajomi i mówią, że w telewizji wspomniano o oddziale „Zenona”! Nareszcie!

Był niezwykle szczęśliwy, a ja cieszyłem się, że kilkoma zdaniem sprawiłem mu radość.

## LEKCJA DREZDEŃSKA

Zagraniczny plener w Lipsku będę wspominał jako jeden z najciekawszych w trakcie moich studiów. Czas spędzaliśmy nie tylko na malowaniu, odbyliśmy również kilka arcyciekawych wycieczek. W Ośrodku Kultury Polskiej, w którym przebywaliśmy, pojawił się pewnego dnia młody Niemiec. Profesor prowadził z nim ożywioną rozmowę, po czym zakomunikował nam, studentom:

– Załatwiłem wyjazd do Naumburga, są jeszcze dwa wolne miejsca. I tak z Profesorem, Stasiem Bajem, zdaje się Januszem Knorowskim oraz wspomnianym Niemcem w roli kierowcy, ruszyliśmy w drogę jego trabantem.

W katedrze Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Naumburgu po raz pierwszy na własne oczy zobaczyłem Utę i Regelinę (znaną jako „Śmiejąca się Polka”). Ale co ciekawe, wrażenie zrobiły nie tylko na mnie. Pamiętam Profesora, który stał przed nimi jak zaczarowany. Pojechaliśmy także do Galerii Drezdeńskiej. To tam, stojąc przed Madonną Sykstyńską, wygłosiłem pogląd:

– Rafael Santi wielkim malarzem był.

– Panie Wieńku – zareagował Profesor – ten obraz nie ma żadnych wartości malarskich, co najwyżej niesie przesłanie. Tyle i tylko tyle.

Kiedy usłyszałem tę opinię, niemal popadłem w depresję. Spacerowałem po Galerii, mijałem wielkie nazwiska i dochodziłem do wniosku, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem, że na dobrą sprawę, to nawet nie wiem, po co tu jestem. Wątpliwościami podzieliłem się z Profesorem. Ten zaprowadził mnie przed płótno Jana Vermeera „Kuplerka” i powiedział:

– Dwadzieścia lat temu patrząc na ten obraz zastanawiałem się, czy potrzebny jest tu dzban po prawej stronie, czy nie zakłóca kompozycji. Dziś wiem, że nie jest potrzebny. Do podobnych przemyśleń dochodzi się z czasem, nie ma nic od razu. Obraz to reżyseria, ważna jest jego techniczna strona, ale przede wszystkim, czy działa na od-

biorcę. Niech pan, panie Wieńku, zerknie na przykład na „Ojcowskie napomnienie” Gerarda Ter Borcha – tu najważniejsza jest srebrzysta suknia kobiety odwróconej do widza tyłem. Ta suknia szeleści, wciąga. To jest dopiero malarstwo!

Słuchałem jak zahipnotyzowany, przekonując się, jak nieprzeciętną wiedzę ma Profesor. Była to dla mnie lekcja wyjątkowa. Zrozumiałem, jak mało jeszcze wiem, a przecież kilka razy w tygodniu bywałem w warszawskim Muzeum Narodowym, podziwiałem wielkie dzieła sztuki, wydawało mi się więc, że mam o tym wszystkim jakieś pojęcie. Dopiero lekcja drezdeńska pozwoliła mi zacząć inaczej patrzeć na sztukę – na sztukę innych i moją. Profesor dał mi wiele rad, a nawet... Rafaelem po głowie i za to również mu dziękuję. Gdy odszedł, zdałem sobie sprawę, jak wielu pytań nie zdążyłem mu zadać.

## IMIENINY

Imieninowe przyjęcie ciotki Eleonory Zbyszyńskiej, choć odbywało się w końcu lat czterdziestych albo na początku pięćdziesiątych, zapadło mi w pamięć na zawsze. Spotkał się u niej w kilka osób, m.in. ja z mężem, Ludwik z Ewą, kuzyni i oczywiście mąż solenizantki, major Leonard – przedwojenny oficer, szef komórki kontrwywiadu Armii Krajowej.

Siadaliśmy akurat do kolacji, gdy rozległ się dzwonek.

– Ciekawe, kto to? Nikogo więcej już się nie spodziewam – szepnęła gospodyni bardziej do siebie niż do nas i poszła otworzyć.

W drzwiach stało dwóch mężczyzn. Przedstawili się, a nawet gdyby nie, i tak byśmy poznali, że reprezentują Urząd Bezpieczeństwa. Po nich zawsze było widać, skąd są. Przeprosili za najście – pomyśleć jacy dobrze wychowani – poprosili o wyrozumiałość, ale wykonują swoje obowiązki. Rozejrzeli się po mieszkaniu, zaglądając we wszystkie kąty i szuflady, po czym oznajmili majorowi:

– Pana zabieramy!

Zapadła grobowa cisza. Przerwała ją Eleonora, pytając, co ma mężowi dać na drogę; może ciepłą bieliznę?

– Może – odpowiedzieli.

Kiedy już mieli wychodzić, jeszcze raz przebiegli wzrokiem po naszych twarzach.

– Panu – zwrócili się do Ludwika – radzimy nie opowiadać w Akademii więcej dowcipów politycznych. A pani za to – skierowali się w stronę kuzynki Ninki (Janina Widawska) – ma za długi język i za dużo w GUS-ie mówi (pracowała w Głównym Urzędzie Statystycznym).

UB wiedziało dosłownie wszystko o każdym z imieninowych gości. Zamarliśmy, bo nikt z nas nie miał pojęcia, co może się za chwilę wydarzyć. Czy zabiorą jeszcze kogoś, czy przyjdą jutro, pojutrze, za miesiąc? Tym razem skończyło się na ostrzeżeniu, by nikomu nie opowiadać, że tu byli i że wujka aresztowali, a w razie pytań znajomych, mieliśmy mówić, że wyjechał w pilnych sprawach służbowych. Leonard, dzięki Bogu, wrócił po dwóch tygodniach cały i zdrowy, tyle że natychmiast został zwolniony z pracy w Komisji Planowania. Taki to był czas.

## Z SZACUNKIEM DLA NAGOŚCI

Tej gulczewskiej sytuacji nigdy z mężem nie zapomnimy. W trakcie rozmowy o czymś zupełnie nieistotnym, Ludwik zmienił nagle ton, stał się niezwykle poważny i rzekł:

– Ja was bardzo przepraszam, ale muszę wam o czymś powiedzieć, wręcz obnażyć się, proszę jednak, byście przyjęli to ze zrozumieniem.

Głos miał taki, że aż się zaniepokoiłam. On tymczasem wyjął zza szafy kilka płócien i odsłaniając je wyjaśnił z łąkiem:

– Maluję erotyki.

Odetchnęłam z ulgą, że tylko o to mu chodziło, że za tym wszystkim nie krył się jakiś dramat. W pierwszej chwili nie mogłam jednak pojąć, czemu Ludwik tak się wstydzi tego, co stworzył. W obrazach nie było niczego niestosownego. Wręcz przeciwnie: skromne, delikatne, powiem nawet szlachetne, do tego doskonałe malarsko. Namalowane z miłością i szacunkiem do nagości. Emanowały emocjami, były szalenie osobiste, czuło się bijące z nich napięcie, jakiego nie ma w milionach aktów, które malarze produkują na pęczki, a główny motyw – kobietę – traktują przedmiotowo. Ludwik traktował kobiety z atencją.

Przy okazji zdradzania nam swojej erotycznej tajemnicy, mówił również o męczących go wyrzutach sumienia. Oto bowiem, kiedy prowadził jeszcze zajęcia na Akademii i studenci malowali akty z natury, on ustawiał modelki pod swoje wizje. Ze szkiców powstawały płótna, ale już w domowym zaciszu. Nikt o nich nie wiedział. Wielce prawdopodobne, że obrazy, które nam pokazał, miały swą genezę kilka dziesięcioleci wcześniej.

## TO WINA MACHNOWSKIEGO

Ludwik przyznał mi się w tajemnicy, że maluje erotyki. Podobno nikt jeszcze wtedy o tym nie wiedział. Zaciekawiony i zaskoczony powiedziałem, że bardzo bym je chciał zobaczyć. Przystąpił na moją prośbę, choć niezbyt chętnie i wówczas stała się rzecz niesamowita: pokazywał prace, czerwieniąc się ze wstydu. Niepojęte. Był już po osiemdziesiątce, a zachowywał się jak uczeń, który nie odrobił pracy domowej i został wywołany do tablicy. Udawałem, że tego nie widzę. Nie udawałem za to, że obrazy bardzo mi się podobają. Co tu dużo mówić: zrobiły na mnie piorunujące wrażenie!

– Ludwiku – zwróciłem się do Profesora – ty musisz to pokazać, nie możesz tego trzymać w szufladzie. To wielka sztuka! Ludzie mają prawo to obejrzeć, a ty masz obowiązek im to udostępnić.

– Idź do cholery, nie pokażę nikomu – machnął ręką i zamknął temat.

Jakiś czas później – na szczęście! – dowiedziała się o tych erotykach Joanna Grootings i przekonała Ludwika, by zgodził się wystawić je przynajmniej w jej galerii w Korfowym.

Na otwarciu zjawilo się moc ludzi. Kiedy Profesor mnie zobaczył, ukląkł, wznosił ręce do nieba i na oczach gawiedzi rzekł:

– Panie Boże, to jest wina Machnowskiego, ja tego nie chciałem!

## NAGA SZTUKA

Ludwik marzył o namalowaniu nagiej dziewczyny na koniu. Podczas jednego z organizowanych u mnie plenerów stworzyłam mu taką możliwość. Proste to co prawda nie było, bo choć rozbierających się modelek jest na pęczki, to znaleźć wśród nich jeszcze taką, która potrafi dobrze trzymać się na końskim grzbiecie, wymagało intensywnych poszukiwań. Najważniejsze, że się udało i do Korfowego ściągnęli artyści. W czasie, gdy rozstawiali sztalugi, naga niewiasta wdrapywała się w boksie na arabskiego ogiera, Dekora. Pomagał jej w tym jeden z moich pracowników. Niewyobrażalnie zawstydzony odwracał wzrok, byle tylko nie patrzeć na rozneglizowane piękne i młode ciało. Był tak zmieszany, że podejrzewam, iż do tej pory, poza swoją żoną nie widział żadnej nagiej kobiety. Przeżycie niemal traumatyczne (*śmiech*). Gdy więc tylko wyprowadził na plac obiekt pożądania twórców, skrył się gdzieś, by dalej nie grzeszyć. Artyści tymczasem przystąpili do pracy. Niektórzy co prawda nie czuli się na siłach stawić czoła takiemu wyzwaniu i woleli malować kwiatki albo okoliczne panoramy, ale Ludwik oddał się dziełu bez reszty. Tworzył z przejęciem, sprawiał wrażenie, jakby był sam na sam z modelką i nic więcej poza nimi nie istniało.

W pewnym momencie do skupionego nad płótnem Ludwika podszedł jeden z jego znajomych:

– Profesorze, nigdy wcześniej nie widziałem gołej dziewczyny na koniu.

Ludwik nie przerywając sobie odrzekł:

– Ja też nie.

Po kilku plenerowych godzinach rozdzwonił się dzwonek na przerwę obiadową. Artyści odeszli od swoich dzieł, tylko jeden Ludwik zabrał swoje płótno, przytulając je do siebie tak mocno, by nikt nie zobaczył, co namalował. Wstydził się jak dziecko, które robi coś, czego nie powinno. Ze swoją twórczą erotyką najchętniej zapadłby się pod ziemię. I tak było od kiedy podjął ten temat w sztuce. Pamię-



tam, jak jeszcze z moim mężem pojechaliśmy do niego do Gulczewa i w trakcie rozmowy w tajemniczy sposób wyznał, że maluje nie tylko konie.

– A co jeszcze? – spytałam zaintrygowana, jednakże odpowiedzi wprost nie dostałam.

Za to po dobrej chwili Ludwik przyniósł z pracowni „coś” szczerze owinięte kawałkiem płótna. Stremowany położył na stole i odsłonił. To była rzeźba erotyczna. Mój mąż nie był nią zachwycony, ale mnie się bardzo podobała. Powiedziałam nawet Profesorowi, że powinien tworzyć coraz więcej prac w tym stylu. Rozmowę niespodziewanie „zakłóciła” pani Władzia, gosposia Profesora. Kiedy bowiem Ludwik usłyszał, że niesie herbatę, zerwał się z miejsca, chwycił rzeźbę i schował ją pod stół. Na szczęście z czasem poradził sobie ze wstydem i tworzył coraz więcej dzieł erotycznych. Powstał pokaźny materiał na wystawę. Ale ileż mnie kosztowało, by go na nią namówić! W końcu „Ludwik Maciąg Erotycznie” zagościł w Korfowym, bo właściciele innych galerii nie mieli odwagi zaprezentować „gołego” Maciąga. Na wernisażu zjawiły się tłumy. W obecności gości Ludwik dziękował mi na kolanach, że dopięłam swego. Między wierszami nawet mi się oświadczył... Ja jednak wciąż byłam mężatką.

W dowód wdzięczności, że wystawa ujrzała światło dzienne, postanowił zapisać mi wszystkie obrazy i rzeźby, które się na nią składały. Nie zgodziłam się. Nie chciałam – i tak też się stało – by w ogóle uwzględnił mnie w testamencie. Najważniejsza była bowiem nasza niezwykła przyjaźń, niezwykła więź emocjonalna. Tylko to się liczyło, nic więcej. Po zakończeniu wystawy wszystkie obrazy, rzeźby i grafiki nie będące moją własnością zostały spisane w formie protokołu i komisyjnie odebrane przez Profesora.

## „ZENON” NA BRACKIEJ

W samym centrum Warszawy, przy ulicy Brackiej, w budynku z 1958 roku, o którym powiadają, że budowały go kobiety, bo żadna ściana nie trzyma pionu, Profesor miał niewielką pracownię. Pozwalał mi z niej korzystać. Bywałem tam nadzwyczaj częstym gościem. Malowałem, szkicowałem, podglądałem też Profesora w pracy, choć w tym akurat nie widziałem nic niezwykłego. Czymś niesamowitym i wzruszającym było natomiast, gdy w każdy wtorek pracownia stawała się miejscem zbiórki Oddziału Partyzanckiego „Zenona” 34. Pułku Piechoty Armii Krajowej 9. Podlaskiej Dywizji Piechoty AK, w którym Ludwik, pseudonim „Sas”, służył w okresie wojny. Uczestnicy spotkań, dawni kawalerzyści, przychodzili w mundurach albo po cywilnemu, a na dzień dobry salutowali i meldowali się, jak to drzewiej bywało. Używali pseudonimów, nigdy nie zwracali się do siebie po imieniu. Przysłuchiwałem się nietuzinkowym wspomnieniom, czy to na temat zwycięskiej bitwy w Jeziorach, czy akcji wydobycia z Bugu niemieckiej rakiety V2. A jak się sprzecali, dbając o szczegóły! Jeden uważał, że było tak, drugi, że trochę inaczej. Nigdy tego nie zapomnę. Robiło to na mnie kolosalne wrażenie, przenosząc w czas miniony.

W pracowni przy Brackiej bywał też Otto Maciąg, brat Ludwika mieszkający na stałe w Anglii. Znakomity artysta, uprawiał malarstwo realistyczne. Zupełnie inny niż Profesor. Taki delikatny, poetycki, z rozwianym włosiem. Natomiast Ludwik twardy i zawsze ze starannie przyciętym krótkim włosiem. Otto potrafił się wzruszać nawet błahostkami. A kłócili się z Ludwikiem właściwie o wszystko, ale zawsze były to sprzeczki na poziomie dwóch szalenie kulturalnych panów. Szybko się zresztą godzili, by znowu zacząć jakiś spór. Po śmierci Otta, z gronem znajomych namawialiśmy Ludwika do założenia fundacji, dzięki której można by sprowadzić do Polski prace jego brata. Niestety, jak to często w życiu bywa, na planach się skończyło.

## SMUTNE BRZOZY

Mam w moich zbiorach sporą kolekcję prac Ludwika. Wiele od niego kupiłam, kilka dostałam. Kilka było też efektem naszych zabaw. Powiedziałam na przykład Ludwikowi, by stworzył swój autoportret, ale w ciągu zaledwie pięciu minut. Stworzył. Pamiętam też, jak przy okazji Dnia Kobiet poprosiłam, ażeby namalował mi kwiatek. Spod pędzla wyszła zupełna abstrakcja – na wszelki więc wypadek, by rozwiązać jakiegokolwiek wątpliwości, Ludwik zaopatrzył kompozycję w podpis: „To jest kwiatek”. Kiedyś dałam mu maleńki skrawek papieru. Na planie trójkąta równoramiennego o podstawie około czterech centymetrów namalował mój portret – chyba „najmniejsze” jego dzieło. Ludwik bardzo lubił mnie malować, mawiał, że jestem jego erotyczną muzą, ale dla mnie pozowanie nie było zbyt łatwe. Rozneglizowana stałam godzinami na tarasie, chłód dawał mi się we znaki, a Ludwik pocieszał:

– Jeszcze chwila, jeszcze moment.

Wśród prac Profesora mam kilka wyjątkowych, na przykład niewielki obraz „Ogień”. Ludwik mimochodem zerknął na palenisko w kominku i rzucił:

– Daj mi szybko mały blejtram.

Tak powstał obraz „Ogień”, który przynajmniej na płótnie wciąż płonie i przywraca wspomnienia.

W Korfowym urodziło się wiele ważnych, bezcennych dla mnie płócien. Ot choćby olej z moimi końmi, który Ludwik namalował na pierwszym plenerze w roku 1998. Nigdy jednak nie był z tego obrazu zadowolony. Marudził, że powinien go przemalować, ja nie bardzo chciałam, uważając, że nie poprawia się tego, co powstało w trakcie pleneru. Ale kiedy pod koniec życia pomieszkiwał u mnie, postanowił ów obraz ponownie namalować.

Niestety przegrał z chorobą i dzieła nie skończył.

\*\*\*

Kilka lat po śmierci Ludwika odebrałam telefon od kolegi, który dał mi znać, że w jednej z warszawskich galerii wisi obraz w stylu Maciąga, ale bez sygnatury. Pojechałam sprawdzić. To był właśnie ten niedokończony. Kupiłam. Nie miało znaczenia, czy jest sygnowany, czy nie. Dla mnie sztuka ma wartość wyłącznie sentymentalną, przypomina ważne chwile i dlatego ją tak cenię.

Mam też w kolekcji wyjątkową akwarelkę Ludwika, którą namalował podczas jednego z ostatnich u mnie pobytów. Uwiecznił naszą brzozową drogę, którą zawsze się zachwycał. Ale że tamtego dnia pogoda była bardzo wietrzna, malował w samochodzie, wyglądając przez okno. Kiedy skończył, rzekł przygnębiony:

– Joanno, chciałem, żeby brzoźki były wesołe, jak te za oknem, ale zobacz – wyszły takie bardzo smutne...

To była ostatnia akwarela Ludwika.

Izabela CHALECKA

## MAM OCHOTĘ NA AGREST

Pod koniec życia Ludwika, kiedy był już bardzo chory, staraliśmy się w gronie przyjaciół, ażeby ktoś z nas stale przy nim był. Pamiętam, jak wybierając się do Profesora, zadzwoniłam z pytaniem, czy może coś mu przynieść, ugotować, może ma ochotę na coś specjalnego.

– Wiesz – odpowiedział ożywionym tonem – mam ochotę na agrest.

Kupiłam. Zjadł zaledwie jeden owoc, nie dał rady więcej, ale zdawał się być w siódmym niebie...

## POŻEGNALNY RYSUNEK

Był 6 sierpnia 2007 roku. Wraz z moim synem pojechaliśmy do Gulczewa. Przemek spędził wtedy przy łóżku Profesora sporo czasu. Rozmawiali, Ludwik coś opowiadał, o coś pytał, a ja go portretowałem. Zabraliśmy się do Warszawy późnym wieczorem, dopiero gdy zasnął. Dochodziła chyba jedenasta. To było nasze ostatnie spotkanie z Profesorem. Rano nadeszła wiadomość, której niestety wszyscy się spodziewali.

## ALBUM

Ostatni album Ludwika zatytułowany „Maciąg” znają zapewne wszyscy miłośnicy jego sztuki. Mam do tego dzieła osobisty stosunek i to z kilku powodów. Koncepcja wydania zrodziła się w naszym domu. Między innymi z Ludwikiem i jego uczniem, profesorem Stanisławem Bajem, grafikiem Michałem Woźniakiem, przyjacielem Piotrem Dybowskim oraz moją żoną dyskutowaliśmy wiele godzin nad kształtem albumu, spierając się jakie prace i z jakich okresów ma zawierać. Zdając sobie sprawę, że będzie to ostatni album wydany za życia Ludwika, uważałem, że powinny znaleźć się w nim obrazy olejne, akwarele, projekty znaczków pocztowych, gobelinów, rzeźby... słowem wszystkie gatunki jego twórczości. Z tych wszystkich trzeba było wybrać najbardziej charakterystyczne i najdoskonalsze, najbardziej też ulubione przez artystę i to on głównie owego wyboru miał dokonywać. Mnie poprosił, bym zajął się organizacją całego przedsięwzięcia, a Michała uczynił odpowiedzialnym za szatę graficzną. Zgodziłem się od razu nie zdając sobie sprawy, czego się podejmuję. Problemy zaczęły się niemal nazajutrz, gdy tylko poprosiłem znajomych, ażeby przesyłali zdjęcia obrazów, które robili przy okazji wystaw, plenerów i rozmaitych spotkań. Okazało się, że amatorskie fotografie w żadnym razie nie nadają się do ekskluzywnego wydawnictwa, Michał odrzucał jedną po drugiej. Skontaktowałem się więc z profesjonalistą, fotografikiem Maciejem Skoczniem i zaczęliśmy razem pracować. Ale że obrazy Ludwika znajdują się w całej Polsce, musieliśmy jeździć po kraju, by kompletować niewiarygodnie bogaty materiał – album zawiera ponad czterysta ilustracji.

Jeździliśmy i w śnieżyce, i w ulewy, i w pałące słońce. Nie brakowało przygód. Na przykład do zamku w Golubiu-Dobrzyniu wybraliśmy się w niedzielę. Na miejscu okazało się, że nie ma tam żywej duszy, która pomogłaby zdjąć obraz ze ściany, a wisiał tak wysoko, że fotograf nie mógł zrobić slajdu. Sami więc zmontowaliśmy prowi-

zoryczne rusztowanie, dzięki któremu możliwe stało się ustawienie aparatu w pozycji idealnie równoległej do płótna.

Mijały miesiące, byliśmy w proszku, a Ludwik coraz bardziej się denerwował. Obiecałem mu jednak, że 25 kwietnia 2007 roku zobaczy wydrukowany projekt albumu. Datę pamiętam dokładnie tylko dlatego, że tego dnia zginęła minister Barbara Blida.

Dwa dni wcześniej, w niedzielę, na godzinę 14.00 byliśmy umówieni z Michałem Woźniakiem na odbiór tzw. wydruków. Kiedy przyszliśmy do drukarni, okazało się, że na tamtejszych maszynach wydrukowanie odbitek z załączonego materiału jest niemożliwe. Zaniemówiliśmy! Nikt nas nie uprzedził, że taka ewentualność istnieje. Przyjęto zamówienie i tyle.

Co tu robić? Czas nagli, Ludwik czeka, a ja jak się czegoś podejmuję, to nie nawalam.

Niemal w ostatniej chwili znaleźliśmy inną drukarnię, przy ul. Śniadeckich. Cud, że jej właściciel dał się uprosić i w trybie ekspresowym przystąpił do pracy. Michał cały czas czuwał, czy jakość wykonywanych odbitek jest taka, jak być powinna. Przed północą wydruki mieliśmy w rękę. Czym prędzej zawieźliśmy je do czynnych całą dobę zakładów introligatorskich w Alejach Jerozolimskich. O drugiej w nocy projekt albumu był gotowy. Odetchnęliśmy z ulgą.

Pierwsze wrażenie Ludwika: był zachwycony, choć nad ostatecznym kształtem albumu przyszło nam jeszcze sporo pracować. Prosił tylko o usunięcie jednej reprodukcji. Dwa miesiące później, oglądając wydruk przeznaczony do korekty, ostrym tonem zwrócił mi uwagę:

- Prosiłem, ażeby wyrzucić tę reprodukcję, a ona wciąż tu jest!
- Obiecałem, że wyrzucę i słowa dotrzymam – odrzekłem kategorycznie.

Dotrzymałem, ale Ludwik już się o tym nie dowiedział. Zmarł pół roku przed wydaniem albumu.



## PROFESORSKI DROGOWSKAZ

Profesor wiedział, że zamierzam założyć stowarzyszenie jego imienia. Sporo mu o tym opowiadałam. Prosiłam też o inspirujące wytyczne. Tak powstał ośmiopunktowy testament-drogowskaz, w którym Ludwik zwracał uwagę m.in. na okazywanie życzliwości drugiemu człowiekowi, przeciwstawianie się degradacji Polski, pielęgnowanie tradycji jeździeckich, sprzyjanie rozwojowi talentów artystycznych, aprobatę dla dziesięciu przykazań, kierowanie się humanitarnym stosunkiem do zwierząt. I ostatni punkt, w którym podkreślał wagę kultury – by w żadnych poczynaniach nie pomijać jej roli, bo ta, kiedy Polski nie było na mapie, pozwalała przetrwać narodowej świadomości.

Niestety z planów stowarzyszeniowych nic nie wyszło, wiele osób, które zadeklarowały swoje członkostwo, wycofało się, ale założyłam Fundację Ludwika Maciąga „Eos”, której jestem prezesem i która wciąż działa.

## OSTATNIA WOLA

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych kręciłem film „Bajowy świat”, chodziłem z moim bohaterem, Stanisławem Bajem, po mieście. W ten sposób trafiłem m.in. do jego warszawskiej pracowni przy Brackiej, która wcześniej należała do Ludwika Maciąga. I choć Maciąg już w niej nie tworzył, organizował tam spotkania żołnierzy AK z oddziału „Zenona”, w którym służył podczas wojny. Kilka razy wpadałem do Staszka właśnie w trakcie takich spotkań. Ludwik bacznie mi się wtedy przyglądał, za którymś razem ostrzegł:

– Niech pan uważa, po tym filmie wszystko będę o panu wiedział!

– Staram się, by było dobrze, jak zwykle – odpowiedziałem bezczelnie.

I chyba wyszło, bo po emisji filmu Maciąg, jak to miał w zwyczaju, gdy coś mu się podobało, klepnął mnie tak mocno w plecy, że aż zabrakło mi tchu. To była najkrótsza recenzja, jakże dla mnie miła, choć bolesna. Nie wypadało jednak przyznawać się, jak cierpię, udawałem więc, że wszystko jest w najlepszym porządku. Zaraz potem Profesor wyciągnął do mnie dłoń i powiedział:

– Ludwik jestem.

Tak przeszliśmy na „ty” i zaczęliśmy się kolegować. Lubiliśmy rozmawiać o sztuce, polityce, sporcie, koniach; oczywiście o kobietach. Lubiliśmy też pić alkohol – może nie powinienem się chwalić, ale miałem w tym bachusowym przeglądzie Ludwika niemały udział. Przecież on nawet w czasie wojny nie brał alkoholu do ust. Kiedy inni w lesie odpływali, oddawał się szkicowaniu kawaleryjskich scen. Śmiał się zresztą, że był jedynym trzeźwym partyzantem.

Wojenne rysunki odgrywały w jego życiu szczególną rolę – zastępowały mu pamiątkowe zdjęcia. Pokażny zbiór fotografii kompletował w latach późniejszych. Nauczyłem go obsługi „Photoshopa”. Podobno przede mną instruowali go w tej materii jacyś młodzi ludzie, ale że mówili językiem komputerowym, w ogóle nie rozumiał, o co

chodzi. Kiedy dzięki mnie zrozumiał, zaczął z zapalem skanować. Po śmierci żony Ewy spędził przy komputerze niejedną bezsenłą noc.

Kiedy myślę o Ludwiku, zastanawiam się, jak go pamiętam. Na pewno jako człowieka przesadnie skromnego, niepospolitego i ciepłego. Świetnie malował i świetnie jeździł konno. Zazdrościli mu więc jedni i drudzy. Był cholerykiem, potrafił powiedzieć co myśli, z drugiej strony miał niezwykłą wrażliwość, nie tylko tę artystyczną. Do końca życia nie potrafił uporać się z sytuacją, w której zabił młodego żołnierza niemieckiego, choć doskonale wiedział, że jeśliby tego nie zrobił, zginąłby sam.

Ludwik, choć był wybitnym artystą o szerokich horyzontach, co w świecie sztuki wbrew pozorom częstym zjawiskiem nie jest, pozostawał do końca zwyczajnym człowiekiem. Nie wywyższał się, traktował innych z szacunkiem. A przecież nikt by się pewnie specjalnie nie dziwił, gdyby artysta z takim dorobkiem i tak genialnym warsz-  
tatem, patrzył na innych z góry. Poruszało mnie to, co malował, bo pozwalało widzieć w jego pracach transcendencję naszego bytu.

Przyjaźniliśmy się do końca. Przez ostatnie dwa tygodnie życia Ludwika jeździłem do niego z przyjaciółmi codziennie. Biesiadowaliśmy, piliśmy różne alkohole, śmialiśmy się, wspominaliśmy rozmaite sytuacje, bo tak On chciał, choć doskonale wiedział, że odchodzi. Spi-  
sywaliśmy też jego kilkupunktowy etyczno-moralny testament, drogowskaz dla nas i dla przyszłych pokoleń.

Na cztery dni przed śmiercią udzielił mi jeszcze wywiadu. To był jego pomysł – ja czegoś podobnego nie miałbym odwagi zapropono-  
wać człowiekowi w ostatnich godzinach życia. W trakcie filmowania i tak czułem się jak paparazzi.

Zarejestrowany materiał schowałem i po dziś dzień nie czuję się na siłach po niego sięgnąć. Może kiedyś, a wtedy dokończyłbym film, który o niezwykłym artyście malarzu realizowałem latami. Nie skończyłem, bo żadna telewizja nie była tematem zainteresowana – dziś tylko komercja, komercja, komercja, a to co cenne przestaje ważyć. Jeśli jednak kiedyś dokończę pracę, nie omieszkać w filmie podzielić się refleksją: Ludwik pragnął, by jego ciało zostało skremowane, a prochy rozsypane na gulczewskiej ziemi. Tak się niestety nie stało.

## NIE POJEDZIEMY<sup>9</sup>

Ten lipcowy dzień roku 2000 pamiętam nadzwyczaj dokładnie: rano dostałem kopniaka w twarz od własnego konia – na szczęście nie aż tak mocno, żeby nie móc funkcjonować – po południu poznałem Ludwika Maciąga. Związek przyczynowo-skutkowy żaden, ale pretekst do dysputy o koniach znakomity, choć prawdę mówiąc Profesor nigdy nie potrzebował specjalnej zachęty, by o wierzchowcach rozprawiać. Potrafił godzinami opowiadać o jeździectwie, kawalerii, o swojej ułańskiej przeszłości.

Ledwie zaczęliśmy rozmowę, a już wspomniał o oddziale „Zenona”, w którym służył jako żołnierz zwiadu konnego. Wspomniał jednak o tym nie po to, by mówić o sobie, ale o swoim bohaterskim dowódcy Armii Krajowej, Stefanie Wyrzykowskim, pseudonim „Zenon”, skazanym po wojnie przez sąd komunistyczny na karę śmierci i cudem ocalałym.

– O tam, na poręczu schodów – wskazał Profesor – wisi oficerskie siodło, które „Zenon” sprezentował mi podczas wojny i którego wciąż używam.

Słuchałem pana Ludwika z zapartym tchem i już wtedy wiedziałem, że prędzej czy później do tych opowieści wrócę. Okazja nadarzyła się rok, a może dwa lata później, gdy zbierałem materiał do książki „Historie przedmiotami pisane”.

Tak oto Ludwik Maciąg stał się jednym z „moich” bohaterów. A kiedy książka już wyszła, zadbał, by pierwsze, promujące ją spotkanie z czytelnikami, odbyło się w zaprzyjaźnionym z nim Wyszowie. Byłem rad, że wygospodarował czas i wraz z aktorką, Magdą Stuzińską – także „moją” bohaterką – dzielili się spostrzeżeniami i uwagami.

Miałem też nie lada satysfakcję, że Magda i Profesor poznali się dzięki mnie. Niesamowite, jak szybko przypadli sobie do gustu. Z boku sprawiali wrażenie dwóch zagubionych połówek, które odnajdują

<sup>9</sup> Fragment książki *Pasjans z niepotasowanych kart. Opowieści (nie tylko) rodzinne*, Wydawnictwo Filologos, Bydgoszcz 2014.

się przypadkiem w gąszczu ludzkich dusz. Magda zaskoczyła Ludwika Maciąga nieprzeciętną wiedzą – w tym malarską – był zdumiony, jak wiele wie nie tylko o sztandarowych postaciach sztuki, ale także o mało znanych twórcach. On z kolei ujął aktorkę sposobem bycia, kulturą i erudycją, którą emanował wszędzie i zawsze.

Atmosfera była przednia; nic więc dziwnego, że po „służbowym” spotkaniu z czytelnikami, zorganizowaliśmy zupełnie prywatne w gulczewskiej chacie Profesora. Tam artysta pokazał nam wiele prac, także te, które skrywał na strychu i rzadko się nimi chwalił. Pejzaże, płótna o tematyce wojennej, oczywiście konie: i te samotne, i te w zaprzęgach... Wrażeniom nie było końca, niestety czas umykał, musieliśmy się zbierać.

W drodze powrotnej – może trudno w to uwierzyć – ale ani na moment nie przestawaliśmy rozmawiać o Profesorze – człowieku, twórcy, koniarzu. Przypominałem sobie nawet drobiazgi, ot choćby, jak którejś zimy wozilem Profesora od piekarni do piekarni w poszukiwaniu suchego chleba dla jego koni i psów. Magda z kolei nie mogła wyjść z podziwu dla niezwyklej siły osiemdziesięcioparoletniego człowieka. I nie chodziło jej li tylko o siłę fizyczną.

– Kiedy mnie uścisnął na do widzenia – mówiła – odczułam coś, czego nie doświadczyłam nigdy wcześniej podczas żegnania się czy witania z mężczyzną. W tym uścisku było całe jego życie i cały ON: niezłomny, twardy, szlachetny, odważny, romantyczny... Nie dam rady wyrazić tego słowami; staram się i nie wychodzi – to chyba ten jeden z nielicznych momentów, w którym okazuje się, jak język potrafi być ubogi!

Słuchając Magdy, zorientowałem się nagle, że nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

– To chyba Radość – szepnęła.

– Niemożliwe! – odpowiedziałem. – Musielibyśmy przejechać Warszawę?

I... przejechaliśmy – oto m.in. dlaczego rozmowa z kierowcą powinna być zabroniona! Na szczęście owa Radość nie wprowadziła nas w smutek. Dobre humory dowieźliśmy pod same drzwi. Żegnając się, Magda zaproponowała, byśmy za jakiś czas znowu wybrali się w profesorskie progi. Nie wiem czemu, ale od razu zacząłem sobie to przyszłe spotkanie wyobrażać. Przede wszystkim byłem ciekaw,

czy dopisze nam takie szczęście, jakie do tej pory sprzyjało w moich kontaktach z Profesorem: kiedy mnie zapraszał, najczęściej był sam na gospodarstwie, dzięki czemu mogliśmy swobodnie pogadać. A to naprawdę rzadkość, bo przez jego dom w Gulczewie przewijały się tabuny gości. Bywał zresztą zły, gdy przez iksa, czy igreka tracił cenny czas, w którym mógłby coś namalować, wyrzeźbić, naszkicować... Przelewania z pustego w próżne nie znosił!

\*\*\*

Minęło kilka miesięcy. Zadzwoiłem do Profesora i powiedziałem, że chętnie byśmy go z Magdą odwiedzili. Ucieszył się, ale z racji stanu zdrowia – narzekał na przeciągające się przeziębienie – prosił o przełożenie wizyty o kilka tygodni. I tak przekładaliśmy ją parę razy. Kiedy artysta poczuł się lepiej, pech chciał, że do szpitala trafiła Magda. Wspólny wypad po raz kolejny poszedł *ad acta*. Zobaczyłem się z Profesorem dopiero wiosną 2007 na wernisazu Anny Dębskiej. Zapytał wtedy, jak postępują prace nad moją nową książką; odrzekłem, że ukaże się we wrześniu.

– O, to ja nie dożyję...

Tych słów oczywiście nie potraktowałem serio; nie miałem zresztą pojęcia, ba, on sam jeszcze wtedy nie wiedział, jak bardzo był chory.

Mijały kolejne tygodnie, miesiące, utrzymywałem z Profesorem kontakt telefoniczny, a Magdy, jak na złość, nie mogłem złapać: a to miała próby, a to zdjęcia, w końcu pojechała na urlop.

– Może by tak pan do mnie wpadł na kawę – zapytał Profesor, gdy zadzwoniłem w lipcu. – Tylko proszę mi nie mieć za złe, ale ja dłużej jak pół godziny to już nie daję rady rozmawiać.

Kilka dni później stukąłem do profesorskich drzwi. Znowu dopisało mi szczęście: był sam. Rozmawialiśmy o fotografii, malarstwie, o... uzależnieniach.

– Niech pan nigdy nie przestaje pisać o hipoterapii narkomanów, to wielka sprawa, jak dużo konie mogą dać tym ludziom – mówił, a temat znał znakomicie z racji stałych kontaktów z wyszkowskim ośrodkiem Monaru.

Słuchałem Profesora, co kilka minut jednak zerkałem ukradkiem na zegarek. Kiedy mówiłem: – To ja już pójdę, prosił, by jeszcze z nim

posiedzieć. Był tego przedpołudnia w rewelacyjnej formie, wydłużył nasze spotkanie do przeszło trzech godzin, a na pożegnanie odprowadził mnie do furtki oddalonej od domu dobrych kilkaset metrów.

Następne dni spędzał na przemian w szpitalu i w domu. Nieprawdopodobne siły zebrał jeszcze na uroczystość nadania mu 12 lipca 2007 tytułu Honorowego Obywatela Wyszkowa. Przemawiał, udzielał wywiadów, sprawiał wrażenie, jakby wygrywał z chorobą. Kilka dni później obchodził swoje ostatnie, osiemdziesiąte siódme urodziny. Zapraszał, ale obowiązki dziennikarskie nie pozwoliły mi go odwiedzić. Złożyłem mu jedynie telefoniczne życzenia, a przy okazji autoryzowałem wypowiedź, jakiej w związku ze swoim honorowym wyróżnieniem udzielił mi dla miesięcznika „Koń Polski”. Ów tekst miał ukazać się w numerze sierpniowym. Nie ukazał, bo zaginął w drukarni. Profesor nigdy się o tym nie dowiedział i... „dobrze”, bo na tych kilku zdaniach wyjątkowo mu zależało. Przytoczę je więc w tym miejscu:

*Jestem wzruszony, to oczywiste, choć nie lubię zaszczytów, wyróżnień, laurów. Uroczystość z udziałem przedstawicieli władz ma jednak dla mnie zawsze szczególne znaczenie, mogę przypominać o tym, o czym należy pamiętać nie tylko w Wyszkowie, ale w Polsce: kultura kraju nie jest błahostką, tymczasem władza najczęściej ją ignoruje, nie docenia tradycji dla kształtowania przyszłych pokoleń. Powinniśmy uczyć się od Żydów, dla nich kultura zawsze stała na pierwszym miejscu. U nas tymczasem można bezskutecznie upominać się o wartości, których nikt nie docenia albo, co gorsza, nie rozumie. Ot choćby lokalny drobiazg: od lat próbuję przekonać decydentów do stworzenia rzecznego skansenu na skarpie wyszkowskiej. Żyją jeszcze flisacy, którzy pływali tratwami po Bugu, mogą pomóc w odtworzeniu historii. Za kilka lat będzie za późno. Takich przykładów mam setki...*

Ludwik Maciąg zmarł 7 sierpnia 2007 roku. Gdy tylko ta wiadomość do mnie dotarła, próbowałem skontaktować się z Magdą. Bezskutecznie. Dodzwoniłem się do niej dopiero pod koniec sierpnia albo na początku września:

– To kiedy pojedziemy do Profesora? – zapytała na dzień dobry, gdy tylko usłyszała mój głos.

– Nie pojedziemy.

## A ZA TRUMNĄ SZEDŁ EOS

Już jako mały chłopiec zamarzyłem sobie, by poznać autora pocztowych znaczków, które tak bardzo do mnie przemawiały. Mogłem na nie patrzeć godzinami, a im dłużej się im przyglądałem, tym większy wzbudzały we mnie zachwyt. Autorem znaczków był oczywiście Ludwik Maciąg. Na spotkanie z nim przyszło mi jednak czekać pół wieku! A było tak: dwadzieścia lat temu pojechałem na Hubertusa do stadniny Eugeniusza Kuprysia w Kostomłotach. Tym razem nie po to, by ścigać lisa, ale zrobić trochę zdjęć uwieczniając przy okazji Profesora. Wówczas nie dane mi było jeszcze go poznać. Ale kiedy miałem już wywołane filmy i zrobione odbitki, kilka sprezentowałem Kuprysiowi. Ten jakiś czas później zadzwonił do mnie, mówiąc, że część fotografii wysłał Ludwikowi, któremu tak się spodobały, że bardzo by chciał poznać ich autora. Nie trudno się domyślić, że wiadomość szalenie mnie ucieszyła. Wkrótce doszło do pierwszego spotkania. Tak zaczęła się nasza znajomość, pozwolę sobie nawet powiedzieć, przyjaźń. Spotykaliśmy się w miarę często, a że dysponowałem już wówczas profesjonalną kamerą telewizyjną, wpadłem na pomysł, by przy okazji naszych kontaktów filmować wszystko, co z postacią Ludwika związane.

Towarzyszyłem mu w podróżach po Polsce, rejestrowałem jego wernisaże, Hubertusy, rajdy konne, spotkania. Dziś dysponuję sporą liczbą materiałów dokumentalnych. Mam filmy z jego benefisu zorganizowanego w Tychach z okazji osiemdziesiątych urodzin – to tam pierwszy raz dostrzegłem łzy w jego oczach, gdy ludowy zespół śpiewał mu partyzanckie i wojenne pieśni. Mam też zarejestrowany benefis z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin, który odbył się w Wyszku. Przyszło wielu artystów, ale sensację wzbudziła Barbara Brylska – jest nie tylko znakomitą aktorką, również piosenkarką. Kiedy rozległ się jej ciepły i niski głos nucący „Co cię czeka?” zapadła nieprawdopodobna cisza:



*Życie, życie mija,  
na to nie ma rady  
Co cię czeka,  
może dowiesz się...*

Ludwik uczestniczył w tych uroczystościach, bo trudno, żeby goście obchodzili urodziny bez jubilata, ale robił to niechętnie. I nie tylko dlatego, że nie lubił szumu wokół siebie – był nadzwyczaj skromnym człowiekiem, ale jego wielki talent i twórczy dorobek aż tak go przytłoczyły, że nie bardzo umiał się w tym świecie sławy odnaleźć. Widać to na moich filmach.

W swoim archiwum mam też ostatni materiał filmowy poświęcony Ludwikowi. To pogrzeb na cmentarzu w Wesołej. W drodze do miejsca pochówku towarzyszyły mu tłumy ludzi, wśród nich wielu jeźdźców. Za trumną szedł Eos, ukochany profesorski arab. Kiedy chowano jego pana, rżał tak głośno i tak rozpaczliwie, że nie było chyba nikogo, komu nie popłynęłaby choć jedna łza. Takich momentów się nie zapomina.

I na koniec moja osobista refleksja: gdy zabrakło Ludwika, zabrakło zarazem kogoś, kto swoją charyzmą, usposobieniem, dobrocią i skromnością, skupiał artystów i koniarzy. Rozeszliśmy się i bardzo mi tego żal.

## GULCZEW

Profesor darzył mnie zaufaniem. Dobrze wiedział, że gdzie jak gdzie, ale w mojej stajni koniom niczego nie zabraknie. Mówił nawet, że mają lepiej niż w niejednej stadninie. W latach osiemdziesiątych dał mi pod opiekę arabskiego ogiera Eposa, w dziewięćdziesiątych – konika polskiego, Drzemlika. Zapragnął też, bym po jego śmierci, zajął się arabskim Eosem. Tym samym, który na pogrzebie Ludwika w Wesołej szedł za trumną.

Czułem się wyróżniony, że mogłem spełnić ostatnią wolę Profesora. Dwudziestotrzyletni Eos<sup>10</sup> znalazł się pod moim dachem we wrześniu 2007 roku. Mimo zaawansowanego wieku dał mi jeszcze jednego źrebaka. Ogierka nazwałem Gulczew...



---

<sup>10</sup> Eos odszedł w wieku 26 lat.

## SPIS TREŚCI

<i>Od autora</i> .....	5
<i>Życiorys Ludwika Maciąga</i> .....	6
<i>Wstęp</i> .....	8
<i>Ludwika Maciąga wspominają</i> .....	10
<b>CZĘŚĆ PIERWSZA</b>	
<i>Koniarz czy malarz?</i> .....	13
<b>CZĘŚĆ DRUGA</b>	
<i>Takim go pamiętają: rodzina, przyjaciele, znajomi</i> .....	29
Stanisław BAJ, <i>A ty, Ludwiku, po czyjej stronie jesteś?</i> .....	31
Hanna MACHIŃSKA, <i>To pani nie wie?</i> .....	32
Joanna MACIĄG, <i>Zapach Gulczewa</i> .....	33
Ania BALA, <i>Smak dzieciństwa</i> .....	35
Agnieszka KOWALSKA, <i>Kochał wolność</i> .....	36
Krzysztof MACIĄG-ZBYSZYŃSKI, <i>Talentu wychowawczego do dzieci nie miał</i> .....	38
Stanisław BAJ, <i>Miał ze mną Ludwik dobrze</i> .....	39
Maria PODLASIECKA, <i>Wisła pełna woreczków</i> .....	43
Szymon KOBYLŃSKI, <i>O Ludwiku Maciągu</i> .....	44
Weronika Ewa KOBYLŃSKA, <i>Najpierw był dziadkiem, potem Ludwikiem</i> .....	45
Katarzyna BALA, <i>O Szymonie i Weronice</i> .....	47
Joanna GROOTINGS, <i>Podoba się, podoba</i> .....	48
Maciej FALKIEWICZ, <i>Nie jesteś poetą tylko malarzem</i> .....	49
Mateusz JAWORSKI, <i>Biel ma kilka odcieni</i> .....	51
Andrzej MACHNOWSKI, <i>Ocalili Londyn</i> .....	53
Jadwiga ZBYSZYŃSKA-GRZYBOWSKA, <i>Takim go pamiętam</i> .....	54
Janusz MACIĄG, <i>Obcy</i> .....	55
Wieniecysław PYRZANOWSKI, <i>Żal, że wypłata tylko raz w miesiącu</i> .....	57

Agnieszka ZABRODZKA, *** .....	60
Andrzej NOVÁK-ZEMPLIŃSKI, <i>Wspólny język</i> .....	61
Henryk CIACH, <i>Dobre z ciebie chłopisko</i> .....	62
Henryk KĘPSKI, <i>Chata w lesie</i> .....	65
Maria PODLASIECKA, <i>Żeby nie było jak w dowcipie</i> .....	67
Katarzyna BALA, <i>Jakbyśmy tylko pierogi w domu jedli</i> .....	69
Jolanta MACIĄG, <i>Vegeta</i> .....	70
Jan NIEDŹWIEDŹ, <i>Smaczne</i> .....	71
Agnieszka KOWALSKA, <i>Kuchenne porządki</i> .....	72
Eugeniusz KUPRYŚ, <i>Sploszony koń</i> .....	73
Jan NIEDŹWIEDŹ, <i>Baszta nad Niemnem</i> .....	74
Emir CHALECKI, <i>Jakie to życie mogło być piękne</i> .....	75
Henryk KĘPSKI, <i>Sąsiedzi zza płota</i> .....	76
Hanna MACHIŃSKA, <i>Tradycjonalista</i> .....	78
Agnieszka KOWALSKA, <i>Pocieszycielka modelek</i> .....	79
Wieńczysław PYRZANOWSKI, <i>Obserwacja, wyobraźnia</i> .....	80
Hanna MACHIŃSKA, <i>Kot jaki jest nie każdy widzi</i> .....	81
Jerzy BORKOWSKI, <i>Pielgrzymka</i> .....	82
Adam BALA, <i>Pychówka</i> .....	84
Emir CHALECKI, <i>Lekcja malarzkiego spojrzenia</i> .....	85
Izabela CHALECKA, <i>Nie może być, nie może być</i> .....	86
Jan NIEDŹWIEDŹ, <i>Żółty matiz</i> .....	87
Aleksandra NOVÁK-ZEMPLIŃSKA, <i>Autorytet to on miał</i> .....	88
Janusz LEWANDOWSKI, <i>Patrzył i malował</i> .....	89
Henryk KĘPSKI, <i>Od sgraffito do „Rozdroży”</i> .....	90
Włodzimierz DAWIDOWICZ, <i>Zrozumiesz, kiedy zaczniesz jeździć</i> .....	92
Łukasz ZEDLEWSKI, *** .....	93
Niche VASILEV, <i>Cieszył się jak dziecko</i> .....	94
Katarzyna BALA, <i>Huzar na koniu</i> .....	95
Maria PODLASIECKA, <i>„Bracia Łopieńscy”</i> .....	97
Kazimierz PODLASIECKI (1923-1974), <i>O „Braciach Łopieńskich”</i> .....	99
Stanisław BAJ, <i>Donos</i> .....	101
Henryk KĘPSKI, <i>Maciągów w Chinach dwóch</i> .....	102
Wieńczysław PYRZANOWSKI, <i>Chińczyków jak na lekarstwo</i> .....	103
Jan NIEDŹWIEDŹ, <i>Bimber prima sort</i> .....	104
Hanna MACHIŃSKA, <i>Świadek Jehowy</i> .....	105
Wieńczysław PYRZANOWSKI, <i>Komiks</i> .....	106
Joanna GROOTINGS, <i>Lusterko prawdę powie</i> .....	108

Andrzej NOVAK-ZEMPLIŃSKI, <i>Odwiedziny</i> .....	109
Maria PODLASIECKA, <i>Tylko Tetka była żywa</i> .....	110
Stanisław BAJ, <i>Być u ciebie psem albo kotem</i> .....	111
Jan NIEDŹWIEDŹ, <i>Rzeźbiarka w opałach</i> .....	112
Agnieszka KOWALSKA, <i>Rajd do Jezior</i> .....	113
Maria PODLASIECKA, <i>Czy Ludwik zwariował?</i> .....	114
Wieńczysław PYRZANOWSKI, <i>Wieniek konie maluje</i> .....	115
Krzysztof MACIĄG-ZBYSZYŃSKI, <i>Darmowe konie, bryczka i sanie</i> .....	117
Hanna MACHIŃSKA, <i>Wystawa ze szpiegami w tle</i> .....	118
Andrzej MACHNOWSKI, <i>Wynocha mi stąd</i> .....	119
Maria PODLASIECKA, <i>A wrzuciłeś Ludwiku list do skrzynki?</i> .....	120
Katarzyna BALA, <i>Profesorskie rady</i> .....	121
Beata IZDEBSKA, <i>Ludwik, ja i kukurydza</i> .....	122
Adam BALA, <i>Wspólne dziecko</i> .....	123
Andrzej NOVAK-ZEMPLIŃSKI, <i>Koń świętością</i> .....	124
Katarzyna MICHALIK, *** .....	125
Maria PODLASIECKA, <i>Krakowski kafeł</i> .....	127
Andrzej MACHNOWSKI, <i>Maciąg na cenzurowanym</i> .....	128
Krzysztof MACIĄG-ZBYSZYŃSKI, <i>Rozrzuceni po świecie</i> .....	129
Aneta JAŹWIŃSKA, <i>Żołnierski salut</i> .....	130
Wieńczysław PYRZANOWSKI, <i>Miał rację</i> .....	131
Katarzyna BALA, <i>U mnie zimno?</i> .....	132
Joanna GROOTINGS, <i>Gdybym miał taką żonę</i> .....	133
Stanisław BAJ, <i>Podejrzany</i> .....	134
Renata VASILEV, <i>Macedońskie krowy</i> .....	135
Eugeniusz KUPRYŚ, <i>Urodzinowy Hubertus</i> .....	136
Andrzej MACHNOWSKI, <i>Góra z górą się nie zejdzie, ale Maciąg z Jaruzelskim</i> .....	137
Hanna MACHIŃSKA, <i>Zapomniana fotografia</i> .....	138
Krzysztof MACIĄG-ZBYSZYŃSKI, <i>H<sub>2</sub>SO<sub>4</sub></i> .....	139
Agnieszka KOWALSKA, <i>Dwa kroki od siebie</i> .....	142
Maria PODLASIECKA, <i>A to ja śpiewałam</i> .....	143
Andrzej NOVAK-ZEMPLIŃSKI, <i>Nie był malarzem koni</i> .....	144
Beata IZDEBSKA, <i>Rozmowy via telefon</i> .....	145
Piotr DZIĘCIOŁOWSKI, <i>„Zenon” w TV</i> .....	146
Wieńczysław PYRZANOWSKI, <i>Lekcja drezdeńska</i> .....	147
Jadwiga ZBYSZYŃSKA-GRZYSZKOWSKA, <i>Imieniny</i> .....	149
Aleksandra NOVAK-ZEMPLIŃSKA, <i>Z szacunkiem dla nagości</i> .....	150

Andrzej MACHNOWSKI, <i>To wina Machnowskiego</i> .....	151
Joanna GROOTINGS, <i>Naga sztuka</i> .....	152
Stanisław BAJ, „Zenon” na Brackiej .....	154
Joanna GROOTINGS, <i>Smutne brzozy</i> .....	155
Izabela CHALECKA, <i>Mam ochotę na agrest</i> .....	157
Stanisław BAJ, <i>Pożegnalny rysunek</i> .....	158
Henryk KĘPSKI, <i>Album</i> .....	159
Beata IZDEBSKA, <i>Profesorski drogowskaz</i> .....	161
Wojciech MAJEWSKI, <i>Ostatnia wola</i> .....	162
Piotr DZIĘCIOŁOWSKI, <i>Nie pojedziemy</i> .....	164
Andrzej MACHNOWSKI, <i>A za trumną szedł Eos</i> .....	168
Eugeniusz KUPRYŚ, <i>Gulczew</i> .....	170





Sanna nad Bugiem, b.d., olej, płótno



Konie w śnieżycy, 2002, olej, płótno

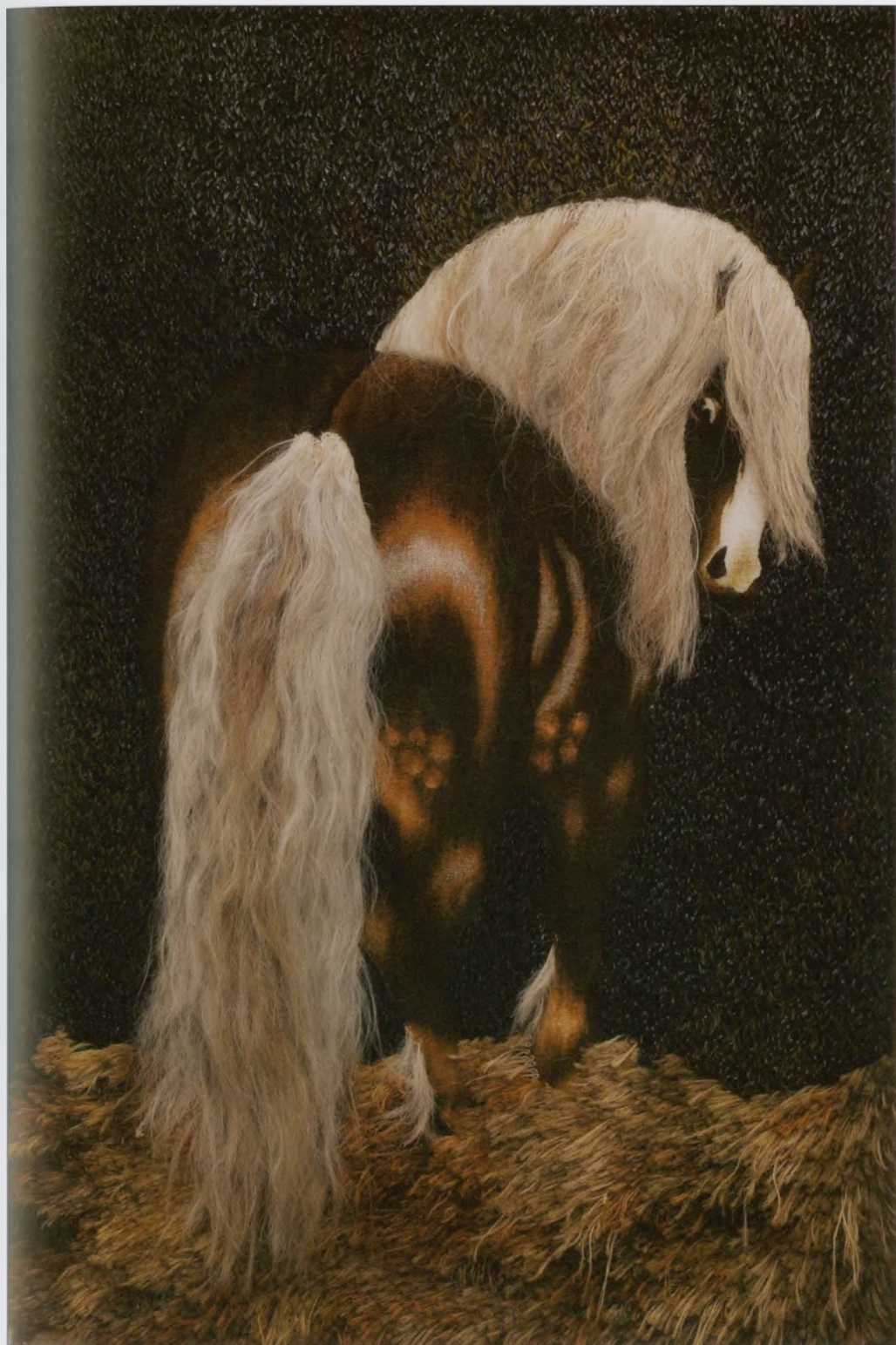


Zima w Hańczowej, b.d., olej, płótno





Sanna w lesie, b.d., olej, płótno



Gobelin według projektu Ludwika Maciąga wykonany przez Katarzynę Bałę, b.d.



Gobelin według projektu Ludwika Maciąga wykonany przez Katarzynę Bałę, b.d.



Bez tytułu, b.d., akwarela, papier



Spłoszony koń, b.d., olej, płótno



Husaria, b.d., olej, płótno



Bałagula, b.d., olej, płótno



Hubertus w Pępowie, 1990, olej, płótno



Bałagula w burzy, b.d., olej, płótno





Bez tytułu, 2001, akwarela, papier



Bez tytułu, 2000, akwarela, papier



Bez tytułu, 2001, akwarela, papier



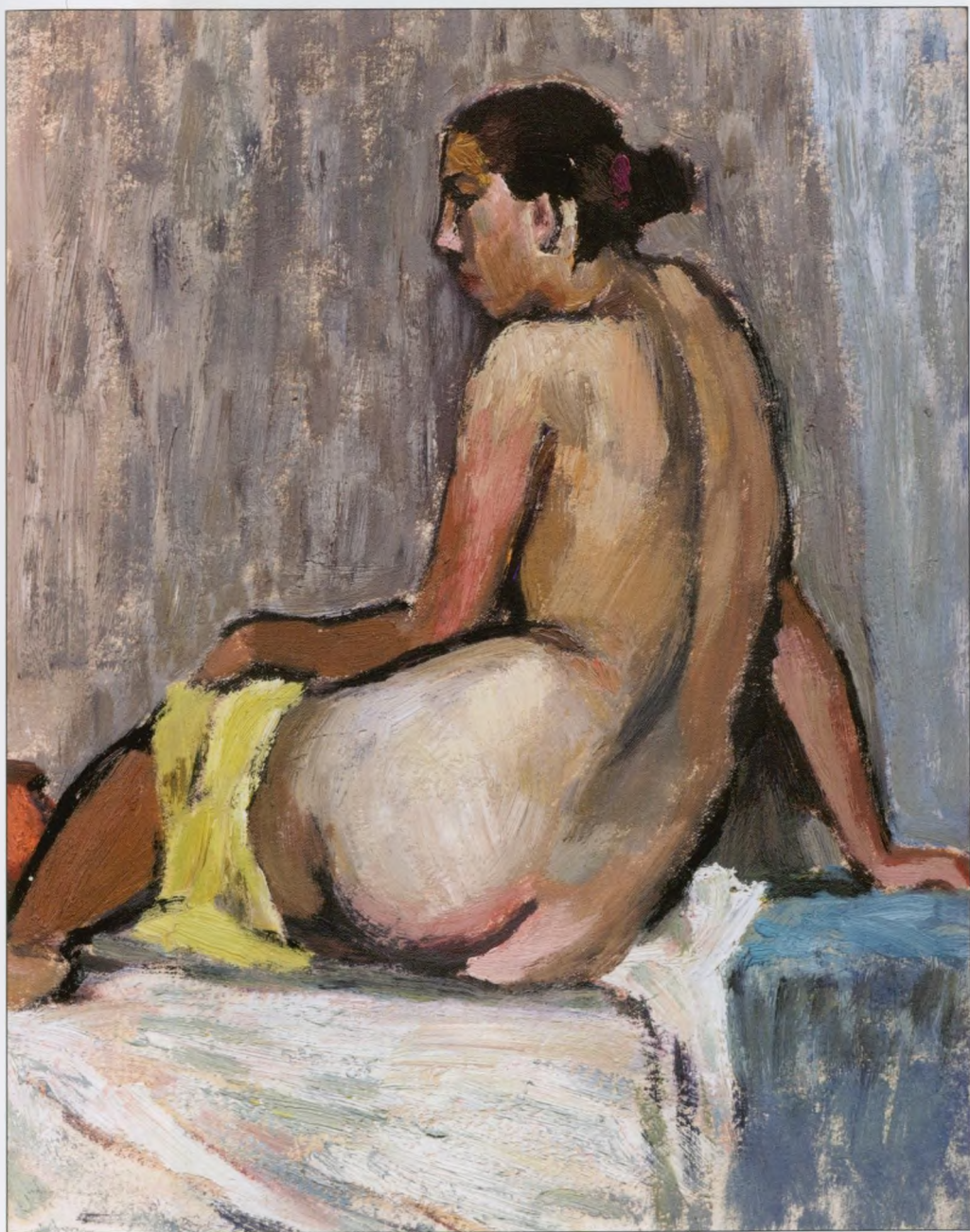
Jesienne ogniska, b.d., olej, płótno



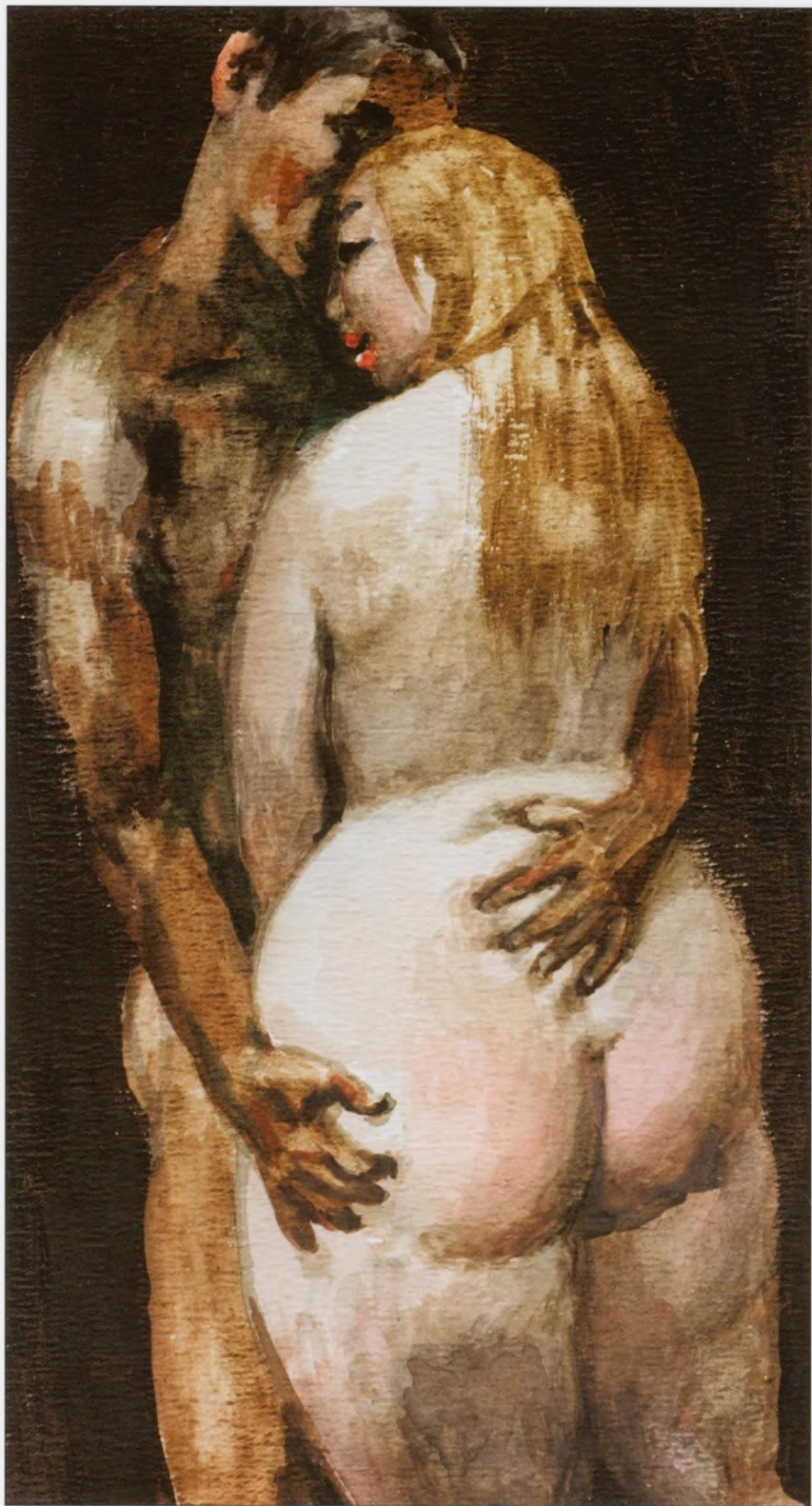
Akt, 2000, tusz, papier



Kochankowie, 2000, akwarela, papier



Po kąpieli, 1984, olej, papier



Przytulona, 2002, akwarela, papier

## NASZ SPONSOR

### Agencja ATM

Al. Niepodległości 186, 00-608 Warszawa  
tel./fax 22 825 33 66

e-mail: [agencja@atm-media.pl](mailto:agencja@atm-media.pl)  
[www.atm-media.pl](http://www.atm-media.pl)

  
**PROFESJONALNA  
KWERENDA  
ARCHIWALNA**

  
**PRZYGOTOWANIE  
I EDYCJA KSIĄŻKI**

  
**NAGRANIE  
WSPOMNIEŃ  
NA KASECIE VIDEO**

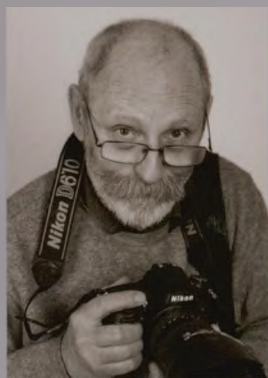
**REJESTRACJA  
FILMOWA POBYTU  
W POLSCE**  






fol. Piotr Dzieciołowski

(...) jakim był Profesor Ludwik Maciąg prywatnie? - o tym właśnie opowiada książka Piotra Dzieciołowskiego. Zbierając do niej materiał, autor rozmawiał z kilkudziesięcioma osobami: członkami rodziny, przyjaciółmi, znajomymi, uczniami. Wiele przytaczanych w książce zdarzeń, faktów, anegdot, pokrywa się ze sobą, różni się jednak interpretacją naznaczoną subiektywnym widzeniem, subiektywnym językiem rozmówców. W treści znajdziemy wiele interesujących historii, tych bardzo poważnych, ale także tych podszytych znakomitym humorem; trafnych opisów i konkluzji. W tym zresztą tkwi ogromne bogactwo i autora, i opowiadających, z których każdy miał swojego Ludwika Maciąga. (Ze Wstępu prof. Stanisława Baja).



fol. Krzysztof Jarczewski

Piotr Dzieciołowski (rocznik 1954) pochodzi ze znanej warszawskiej rodziny dziennikarskiej. W zawodzie od trzydziestu dziewięciu lat. Przez kilka dekad zajmował się fotografią polityczną. Był świadkiem wielu najważniejszych wydarzeń krajowych. Dziesiątki jego zdjęć nabrały wymiaru historycznego. Dziś fotografuje przede wszystkim konie oraz ludzi sztuki. Ma na koncie kilkanaście wystaw indywidualnych (Łazienki Królewskie, wrocławska Galeria „Na Odwachu”, warszawski Dom Sztuki), uczestniczył też w kilkudziesięciu ekspozycjach zbiorowych w Polsce i za granicą (Paryż, Berlin, Moskwa).

W 2003 roku ukazała się jego pierwsza książka „Koń to jest ktoś” (Oficyna Wydawnicza „Rytm”); niniejsza – poświęcona Ludwikowi Maciągowi – jest jego siódmą pozycją.



# KONIE POLSKI

## Hodowca i Jeździec



ISBN 978-83-939406-1-5



9 788393 940615 >

ISBN 978-83-939406-1-5

cena 39 zł